Zeszyt 7. Lwów dnia 1. Marca 1879. **Rok I.**

Strzecha Ojczysta

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata kwartalnie 3 złr. = 6 mark. półrocznie 6 złr. = 12 mark. | Wychodzi dnia 1go, 10go i 20go każdego miesiąca. | W. Maniecki Wydawca i odpowiedz. za Redakcją we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i Inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

(C. d.) Sir Wiliam słuchał na pozór obojętnie, bo ani jeden muszkuł nie drgnął mu na twarzy, ale na zapytanie nie odpowiedział.

— Więc pójdzie pan z nami? napierał gospodarz.

— Z pewnością pójdzie — wmięszała się mimowoli Wandzia, która właśnie weszła była do salonu. Zrozumiawszy atoli, że takie wystąpienie panienki, mającej niespełna lat czternaście, nie było właściwe, zarumieniła się jak malina i twarzą do okna stanęła. —

Na jej szczęście matki nie było w salonie; ojciec zaś słów tych nie dosłyszał.

Musiał je jednak usłyszeć sir Wiliam, bo na jego grubych i szerokich ustach pojawiło się coś nakształt uśmiechu, poczem rzekł poważnie:

— Pójdę.

— Co? co? Ty pójdziesz na tygrysa? — krzyknął master Ellington z najwyższem zdziwieniem.

Syn spojrzał na ojca i tym samym tonem powtórzył:

— Pójdę.

— Nie, zaiste! ja mego własnego syna nie pojmuję! — wołał zwykle spokojny Anglik z żywością prawie francuzką. — On pójdzie na tygrysy! on, który w życiu nie miał strzelby w ręku! Doprawdy, to coś szczególnego! Ale nie, ja ciebie nie puszczę, ty nie masz zdrowia... to by było szaleństwo!

Syn wysłuchał tych słów obojętnie, lecz gdy ojciec mówić przestał, rzekł po raz trzeci, tym razem już bardzo stanowczo:

— Pójdę!

Master Ellington aż oczy wytrzeszczył przypatrując się synowi aby go zrozumieć i dopiero po dłuższej chwili rzekł z rezygnacją:

— Ha, kiedy tak, to chyba i ja już z tobą pójdę na to nieszczęsne polowanie. Trzeba mi tego było! Ale trudna rada, ja cię samego nie puszczę, nie!

— Otóż to mi się podoba! — zawołał gospodarz uszczęśliwiony. — Pójdziemy wszyscy, a ja panom ręczę mojem gardłem, że wam włos z głowy nie spadnie. Przecie nie będziemy sami... będzie nas najmniej pięćdziesięciu strzelców i kilkuset pieszych. To nie polowanie, master Ellington, to istna wyprawa wojenna.

— Ale my będziemy na słoniu? zapytał master Ellington, patrząc Wybickiemu w oczy błagająco.

— Niech będzie na słoniu! Na koniach wprawdzie wygodniej...

— O nie, nie! — przerwał Anglik. — Na słoniu wygodniej i bezpieczniej. Nie raz słyszałem, że jak źle, to słoń strzelców ratuje i tygrysa trąbą zabija.

— A więc dobrze, na słoniu. W mojem gospodarstwie mam jednego, który mnie do Patna nosi. Poczciwy „Grubuś“, jak go córka z polska nazwała, był już nie raz na polowaniu, więc nas nie zawiedzie. Jeszcze raz powtarzam ci master Ellington, że wam włos z głowy nie spadnie.

Podczas gdy gospodarz tak swojego gościa uspokajał, sir Wiliam zbliżywszy się do okna,

przypatrywał się kwiatkom, które Wandzia trzymała. Co się działo w duszy młodego człowieka, trudno było odgadnąć; jego twarz bowiem pokryta skórą grubą, na której ospa w wielu miejscach głębokie ślady zostawiła, nie zdradzała żadnych wrażeń, żadnych uczuć. Wprawdzie od czasu do czasu pojawiał się na niej uśmiech przelotny, lecz zaiste ktokolwiek patrzył na sir Wiliama, nie ośmieliłby się orzec, ażali ten uśmiech był objawem zadowolenia, lub bezmyślności, graniczącej z idjotyzmem. Po tej twarzy, takiej czczej, brzydkiej i pozbawionej wyrazu można się było wszystkiego spodziewać.

Wandzia bawiła się dalej kwiatkami, jakby obok niej nikogo nie było; ilekroć zaś głowę podniosła i przelotne spojrzenie na młodzieńca rzuciła, każdym razem spuszczała oczy na kwiaty, uśmiechając się na pozór bardzo naiwnie i skromnie, a w rzeczywistości tak złośliwie! Czy to nad Wisłą, czy nad Gangesem, kobieta dla mężczyzn brzydkich, niemiłych i niewyglądających rozumnie, jest bez litości. Taką zostanie ona pono do końca świata.

XXII.

Noc poprzedzającą polowanie, pani Wybicka spędziła prawie na czuwaniu. Mimo że nie była cierpiącą, przeciwnie, od dłuższego już czasu czuła się tak dobrze jak oddawna nie pamiętała, do północy zasnąć nie mogła; a gdy nareszcie sen zamknął jej powieki, zerwała się przestraszona. W ciągu nocy powtarzało się to kilkakrotnie. Wandzia zaniepokojona zapaliła światło, podawała matce wodę i zimne okłady na serce, które biło gwałtownie, jakby wszystka krew zbiegła się do niego, pragnąc je rozsadzić. Wolna od przeczuć i przesądów, pani Wybicka kładła to na karb rozdrażnienia nerwowego, lecz gdy zaczęła szukać jego przyczyny, znaleźć jej nie mogła.

— Ja to mamie wytłómaczę — mówiła Wandzia — tatko odkąd się ożenił, nie polował jeszcze na tygrysy, więc to mamę przeraża

— Mylisz się Wandziu.

— Ja jestem pewna, że nic innego tylko to...

— A ja ci powtarzam że się mylisz Przecie twój ojciec jest mężczyzną, tu zaś wszyscy mężczyźni polują na tygrysy i inne dzikie zwierzęta, a jednak nie dzieje im się nic złego... Temu już nie przeszkodzę. Zresztą, czyż im może grozić jakie niebezpieczeństwo?... Tylu ich tam będzie! Nie Wandziu, nie to jest powodem mego rozdrażnienia... Przyznam ci się, że w życiu pierwszy raz wydarza mi się coś podobnego, więc się wcale nie rozumiem...

Być może, że córka miała słuszność, chociaż matka tego nie uznawała. Będąc sama kobietą wzorową i chcąc córkę na taką wychować, niejednokrotnie jej mówiła, że dobra żona nigdy nie powinna sprawiać przykrości mężowi, obowiązkiem bowiem kobiety rozjaśniać, nie zaś zaciemniać życie mężczyźnie. Żona, która mężowi odmawia rozrywek niewinnych, nie jest dobrą żoną, a że polowanie do tych należy, więc już samo przyznanie, że ją zamiar męża niepokoi, byłoby według jej mniemania zganieniem jego kroku, czego nie mogłaby za dobre poczytywać. Ten więc a nie inny powód kazał jej bezustannie przeczyć, jakoby ją niepokoiły łowy jutrzejsze.

Wprawdzie mąż wybierał się na tygrysa, co niejedna z kobiet europejskich uznałaby może za powód dostateczny, by w tym wypadku nie postępować jak pani Wybicka, lecz pozwolimy sobie zrobić uwagę, że lew w Afryce a tygrys w Bengalu, to prawie to samo, co niedźwiedź w Europie środkowej, a któraż kobieta, naprzykład w Polsce, mająca męża myśliwym, zatrzymuje go płaczem i wynurzaniem obaw niewieścich, gdy on w licznem towarzystwie strzelców, wybiera się na niedźwiedzia? Taka kobieta byłaby śmieszną i źle wychowaną.

Wybicki oglądnął wieczorem sam „Grubusia“, kazał mu dać podwójną porcję siana wyborowego, zrana zaś przyniesiono mu spore wiadro wody, poczem słudzy przywiązali mu do grzbieta skrzynię, zwaną „huddah“, w której podróżni siadają. Utrzymanie słonia, w stosunku do usług jakie on w gospodarstwie oddaje, jest bardzo kosztowne, i Wybicki byłby sobie tego zbytku pewnie nie pozwolił, gdyby go do tego nie był skłonił wzgląd na stosunki miejscowe. Indjanie uważają słonia za zwierzę szlachetne, i są mniemania, że szlachetnie urodzone kobiety mogą tylko na nim podróże odbywać. Aby więc nie sądzono źle o nim i o jego żonie, Wybicki przed kilku laty kupił „Grubusia“ i odtąd razem z żoną odbywał na nim podróże bliższe i dalsze do Patna.

Gdy słoń przed gankiem stanął, za nim zaś wózek na dwóch kołach, szeroki i wysoki, zaprzężony parą mułów, gospodarz obracając się do master Ellingtona, rzekł:

— Ja i sir Wiliam pojedziemy na słoniu, pan zaś na wózku.

— O! i ja na słoniu! — zawołał Anglik.

— Trudna będzie sprawa, w huddahu jest miejsca zaledwie na dwie osoby.

— Pomieścimy się, sir Wybicki, pomieścimy. Mój syn jaki cienki! popatrz, a i ja nie gruby. Już to na słoniu zawsze bezpieczniej niż na tym słabym wózku.

— Dobrze, dobrze... lecz nie ja będę winien, jeżeli panom będzie potem nie wygodnie.

— Nic sobie z tego nie rób, sir... Już my ci za to nie zrobimy wymówki.

Przez cały ten czas sir Wiliam słowa nie

przemówił; stojąc na ganku, oglądał uważnie strzelbę, którą Wybicki pożyczył dlań od pastora.

Gdy przyszła chwila pożegnania, pani Marja całując męża, o mało w głos się nie rozpłakała; Wandzia była nie mniej smutna.

— A wam co się stało? — zapytał Wybicki. — Blade, przestraszone, jakbym szedł co najmniej na wojnę. Otóż to skutki, jak się kobietę źle przyzwyczai. Przez szesnaście lat nie byłem na porządnem polowaniu, więc dziś żona boi się, jakby mi ten tygrys miał koniecznie głowę urwać. Pamiętaj pan — dodał obracając się do sir Wiliama — abyś ożeniwszy się kiedyś, od samego zaraz początku przyzwyczaił żonę do wszystkiego, bo inaczej będziesz miał historje.

— Dobrze — odpowiedział młody człowiek i uśmiechnął się na znak zadowolenia.

— Ja ciebie przecie nie wstrzymuję Stasiu — przemówiła pani Marja słodko i łagodnie — a żem trochę blada i smutna, cóżem ja temu winna?... Czasem ulegamy wrażeniom, z których sobie sprawy nie zdajemy. Ale wy dziś powrócicie, prawda?

— Bardzo wątpię Maryniu... Ztąd do miejsca zbornego mamy dziesięć mil angielskich; zanim wszyscy się zjadą dosyć czasu minie, potem polowanie, które potrwa kilka godzin, a że noc szybko teraz zapada, księżyc zaś nie świeci, więc może lepiej przenocować w Thayo.

— Pewnie że lepiej — potwierdziła żona. — Ale poczekajcie jeszcze chwilkę, niech wam dam co na drogę.

— Jużem o tem myślała mamo — rzekła Wandzia — na wózku jest wszystko.

Jeszcze raz się uściskali, poczem mężczyźni siedli na słonia. Poczciwe zwierzę wyciągnęło według swego zwyczaju najpierw trąbę do Wandzi, która mu dała kawałek cukru, potem do jej matki, od której dostał jabłko. Gdy już ruszyć mieli, słoń podniósł trąbę do góry, i ryknął tak przeraźliwie, że master Ellington aż zadrżał, a i Wybickiemu nie miło się zrobiło.

Żona i córka, stojąc na ganku odprowadzały wzrokiem odjeżdżających.

Gdy im z oczu zniknęli, obie kobiety wróciły do zajęć domowych Po południu Wandzia siadła przy fortepianie i grać zaczęła, matka zaś poszła do pawilonu w zamiarze nadzorowania robotnic, zajętych przy wachlarzach. Wybicki chcąc powiększyć swoje dochody, zaczął doświadczać sił i szczęścia w następującej gałęzi przemysłu: oto widząc najpierw w Kalkucie, a potem w Patnie, kupców chińskich i japońskich, którzy sprzedawali bardzo praktyczne wachlarze z liści palmowych, zamieszkawszy następnie w okolicy obfitującej w takiż gatunek palmy, postanowił robić sam wachlarze, a chociaż z początku walczył z wielkiemi trudnościami, powoli całkiem je przezwyciężył, a teraz sprzedawał już wachlarze własnego wyrobu.

Fabryka znajdowała się w pawilonie z trzciny bambusowej, wystawionym w głębi ogrodu. Tam suszyły się liście palmowe, tam dwie kobiety indyjskie zręczne i pracowite, naklejały wachlarze pewnym rodzajem gumy, która grzała się w naczyniu blaszanem nad lampką olejną. Pani Wybicka z przyjemnością doglądała tego zajęcia, które z czasem mogło dać im nawet majątek.

XXIII.

Wieś Thayo leży nad rzeczką wpadającą do Gangesu. Było to miejsce zborne dla myśliwych, którzy ze wszystkich stron ponadciągali. Gdy o godzinie jedenastej kapitan Langlow, kierujący polowaniem, obliczył swoją drużynę, okazał się zastęp nielada. Słoniów ze strzelcami było dziewięć, strzelców na koniach dwudziestu ośmiu, między tymi czterech oficerów angielskich i jakiś członek poselstwa francuskiego, który przypadkiem znalazł się w tych stronach; nakoniec krajowców pieszych było przeszło trzystu, z których każdy miał włócznię i dah, a wielu także strzelby. Niektórzy trzymali jeszcze w rękach instrumenta muzyczne, mianowicie piszczałki, bębenki z dzwonkami, blachy miedziane, a inni race i petardy.

— Na co tej całej parady z dzwonkami i petardami? — zapytał master Ellington swojego sąsiada.

— To nie dla parady, lecz z potrzeby — odrzekł Wybicki. — Ci piesi są obławą, aby zaś zwierzyna w tył nie uciekła, będą ją płoszyli muzyką i petardami. Tym sposobem wszystko wyjdzie na strzelców, to jest na nas.

— Już to ja sobie wypraszam... niech na mnie nic nie wychodzi. Z tem wszystkiem — dodał po chwili — czy jest w tem sens jakikolwiek, aby biedne zwierzęta zmuszać koniecznie, by na nas wychodziły? Niechby sobie choć połowa wróciła na obławę. Bo to dobrze jeżeli będzie tylko jeden tygrys, nawet dwa; ale jak się ich znajdzie pięć lub dziesięć, co wtedy, sir Wybicki?

— Wszystkie zabijemy.

— Łatwo powiedzieć, łatwo!... Wiliam dobrze ci?

— Dobrze

— Nie boisz się?

— Nie.

— Tęgi chłopiec, tęgi! Ani bym był przypuścił, że z niego będzie taki bohater. Jak to jego matce powiem, spłacze się z radości. Ale mimo to stokroć byłoby się lepiej stało, gdybyśmy byli prędzej do Patna odjechali. Teraz masz tygrysy! Ha, trudna rada.

Z temi słowy master Ellington zwiesił z re-

zygnacją głowę na piersi i kurczowo ścisnął włócznię, którą na wyjezdnem dostał od Wybickiego; strzelby bowiem, chociaż znalazła się dla niego doskonala, ani chciał się tknąć ręką.

Sir Wiliam spoglądał przed siebie okiem obojętnem, jakby nie zwracał uwagi na to, co się w koło niego działo. Wybicki tymczasem rozmawiał swobodnie z Anglikami, którzy obok harcowali na koniach długich, muszkularnych, umyślnie do łowów przeznaczonych.

W miejscu, gdzie rwąca rzeka rozszerzała koryto, zkąd o dwa kilometry było jej ujście, zaczynała się gęstwina, na którą złożyła się cała roślinność Indyj wschodnich. Obok palm wyniosłych, rosły niższe, paprociowe; obok drzew morwowych i tamarynd, spotykało się olbrzymie kaktusy; obok trzciny bambusowej wiły się liany i powoje, których liść tłusty, szeroki, nie przepuszczał słońca promieni. W tym cieniu pełzały gady jadowite, czyhające na zwierzyny mniej ostrożne, lub nagą stopę krajowca; tu prócz dzików i bawołów, ukrywały się lamparty, hyeny, pantery, a między niemi dwa tygrysy królewskie.

Aby tem pewniej dostać wspaniałą zwierzynę, kapitan Langlow przekonawszy się, że cały brzeg rzeki jest tak bagnisty, iż żadne większe zwierzę nie odważyłoby się zapuścić na jego trzęsawiska, rozstawił strzelców u wyjścia gęstwiny, obławie zaś kazał iść z boku i z końca. Tym sposobem liczył na pewne, że cokolwiek jest w zaroślach, wyjdzie na myśliwych. Gęstwina miała w obwodzie kilka mil angielskich.

Dwie race puszczone ze stanowiska przez strzelców zajmowanego, dały hasło do rozpoczęcia polowania.

Master Ellington spojrzał w około.

Przed nimi była czarna gęstwina; na prawo i lewo w oddaleniu kilkudziesięciu kroków stali myśliwi, to konno, to na słoniach, między nimi zaś widać było w grupach po kilku krajowców, którzy trzymając długie włócznie, mieli bądź przeszkadzać, by zwierzyna nie uciekała, bądź wspierać strzelców w razie niebezpieczeństwa. Już to przyznać należy, że kapitan wszystko roztropnie i dobrze zarządził.

Zagrały piszczałki, zadzwoniły blachy i dzwonki, zawarczały bębny i obława śmiało w gęstwinę ruszyła. Zbudzony zwierz powstał, nadsłuchał i najpierw wolno, potem pędem rzucił się w stronę myśliwych. Nie trwało pół godziny, a na punktach rozmaitych padło strzałów kilkadziesiąt. Cicho.... żadnych krzyków, nawoływań. Snać wszystko odbyło się dobrze, bez wypadku.

Master Ellington, który aż do tej chwili oddech w piersi tamował, jakby w obawie, by głośniejszem oddechaniem śpiących tygrysów nie zbudzić, otrzymawszy pierwszy chrzest strzałowy, westchnął głęboko, a obracając się do Wybickiego, dosyć głośno przemówił:

— Może już zabili tę bestję?

— Może...

— Dałby Bóg!

Zaledwie to życzenie z ust mu uleciało, hałas straszliwy, piekielny, złożony z głosów ludzkich, strzałów, huku petard, świstu rac i dzikich tonów muzyki, dał się słyszeć w oddaleniu kilkuset kroków, poczem nastąpił łomot gałęzi. Jak się później okazało, zwierzęta usłyszawszy strzały przed sobą, usiłowały w tem miejscu przebić się przez obławę; lecz waleczni krajowcy, przyzwyczajeni wychodzić zwycięzko z tej walki dla nich niebezpiecznej, nawrócili je wrzawą i strzałami.

Najpierw robiąc drogę przez gęstwinę, wypadły dwa słonie, do których nikt nie strzelał, przed rozpoczęciem bowiem polowania było zapowiedziane, że w razie gdyby się słoń znalazł, strzelać go nie wolno; za niemi pomknął bawół, który nie dostał się po za linję strzelców, gdyż ugodzony kilką kulami równocześnie, padł jak kłoda, a za bawołem w szalonych susach pojawił się tygrys królewski. Wspaniały ten drapieżnik, rzucając gniewne spojrzenia, wyskoczył o kilkadziesiąt kroków od naszych znajomych. Padły dwa strzały; tygrys ryknął, lecz zamiast dalej pędzić, lub rzucić się na tych, którzy go ołowiem przywitali, zwinął się na miejscu jak piskorz i wrócił nazad w krzaki. Strzały pochodziły od oficerów angielskich, na których tygrys właśnie wyszedł. Nasi znajomi nie widzieli go wcale.

— Tygrys! tygrys! — przeleciał okrzyk po całej linji.

— Gdzie tygrys? Gdzie tygrys? — zawołał master Ellington z najwyższą bojaźnią.

Wybicki nie miał czasu odpowiedzieć, bo w tejże samej chwili, mimo wrzawy szatańskiej, którą obława robiła, ozwał się ryk boleśny, przeciągły, ostry, od którego liście na palmach zadrżały. Lecz nie same liście... „Grubuś“ drżał także, jak liść, co najlepszym było dowodem, że w swojem życiu potykał się z tygrysami. Każdy słoń, który walczył z tygrysem, na ryk tego drapieżnika okazuje zaniepokojenie i prawie trwogę. Tygrys otrzymawszy postrzał, a widząc, że ze wszystkich stron jest otoczony, ryczał gotując się do walki ostatniej.

Chwila była nad wszelki wyraz uroczysta. Każdy rozumiał, że przeciwnik zechce drogo swoje życie sprzedać.

W chwili, gdy słoń zadrżał, Wybickiemu gwałtowniej serce uderzyło, master Ellington tak się skurczył, że go wcale widać nie było, a sir Wiliam wprawdzie siedział i niby spokojnie patrzył przed siebie, lecz zęby dzwoniły mu jak w zimnicy.

Ryk zbliżał się w miarę, jak obława postę-

powala, a potem nagle, tuż przed naszymi przyjaciółmi, zjawił się w susach tygrys z bokiem zakrwawionym. Wybicki chciał się zmierzyć — nie miał czasu. Drapieżnik przypadłszy do ziemi, jak kot gdy mu mysz skacze, rzucił się prosto na słonia, aby mu oczy wydrapać, a potem ściągnąć człowieka, który siedząc poniżej huddahu, kierował słonia ruchami. Skok był zuchwały, dobrze obliczony, a jeżeli nie powiódł się drapieżnikowi, to li dla tego, że miał godnych siebie przeciwników. W chwili skoku, sir Wiliam wypalił na oślep, może przypadkiem, może ze strachu, a „Grubuś“ widząc co mu grozi, rzucił się w bok, skutkiem czego tygrys chybił celu. Tym sposobem zwierz znalazł się znowu na ziemi, lecz szalony gniewem, jakby w chęci zemszczenia się na tym, który mu w zwinności dorównał, nie pobiegł dalej i nie zważając na strzelców, którzy go ze wszystkich stron otoczyli, uchwycił się tylnej nogi słonia, usiłując przegryść mu ścięgna. „Grubuś“ ryknął, wierzgnął, podniósł trąbę do góry, bił się nią po bokach, ale daremnie. Nie mogąc z powodu budowy swego ciała zgiąć się jak inne zwierzę i trąbą pochwycić zapaśnika, zaczął drżeć znowu, co było zapowiedzią, że się z nóg zwali, aby tygrysa przygnieść ciężarem własnego ciała. Jestto środek ostatni, do którego słoń ucieka się w walce z tym zwierzem. Gdyby to nastąpiło, osoby siedzące w huddahu mogłyby się także pozabijać. W tej chwili, nad wszelki wyraz krytycznej, która zresztą trwała bardzo krótko, Wybicki odzyskawszy dawną pewność siebie, odwrócił się szybko i tygrysowi na oddalenie dwóch kroków posłał w bok dwie kule. Równocześnie krajowcy ugodzili go dzidami... Wspaniały drapieżnik zsunął się bezwładnie na ziemię, paszczę, z której krew buchała, rozdziawił raz i drugi, aby nią zachwycić jeszcze powietrza, chrypliwie ryknął raz ostatni i oczy przymknął na zawsze.

Okrzyk radości przebiegł wzdłuż linji myśliwych.

Na murawie, na której prędko stanęły namioty, leżał bawół, lampart, kilka dzików i tygrys. Wynik łowów był zatem świetny; Wybicki, któremu wszyscy się przedstawili, został ogłoszony królem polowania. Sir Wiliam oglądał tygrysa z prawej strony, a znalazłszy tam jedną kulę, rzekł:

— Ja tu strzeliłem.

— To twoja kula była śmiertelna, mój drogi Wiliamie! — zapewniał ojciec uradowany bohaterstwem syna — to ty go zabiłeś! Ja także ci pomogłem, bo w chwili, gdy rzucał się na nas, ugodziłem go włócznią.. ona tam gdzieś leży.

Włócznia w rzeczy samej leżała na pobojowisku, bo ją master Ellington puścił ze strachu, jeszcze wtedy, gdy tygrys pierwszy raz zaryczał.

Większa część myśliwych, a między nimi i nasi znajomi, spędzili noc w Thayo, zkąd nazajutrz rano mieli do domu wrócić. (C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

według oryginału obcego przez H. W.

(C. d.) — Właśnie że nie! Powóz nam się złamał, deszcz lał strumieniem, pocztylion sobie głowę rozwalił i rękę nadwerężył, musiałem więc przy nim zostać. Szczęśliwy byłem gdy ten Servigny nawinął się mijając naszą grupę tragiczną! Poznałem w nim zaraz prawdziwego dżentelmen'a, bo mówi wybornie po angielsku, powierzyłem mu więc miss Jenny, no! i dzięki Bogu, jego głęboka uczoność zostawiła mu jeszcze na tyle rozumu, że odprowadził szczęśliwie, oddaną mu pod opiekę damę, do domu wskazanego.

— I naturalnie! — odparł Alison z przekąsem — ta przechadzka we dwoje dopomogła do bliższej znajomości, którą tem gorliwiej uprawiają, że mieszkając pod jednym dachem, mogą co dzień widywać się i rozmawiać z sobą.

Atkins spojrzał na niego zdziwiony, wreszcie parsknął śmiechem.

— Jak mi Bóg miły! Pan bodaj, czy nie zaczynasz być zazdrosnym! I to o kogo? o tego profesora w suchotach, który siedzi po całych dniach zagrzebany w swoich księgach, a zresztą nie wie nic o Bożym świecie! Wyrządzasz pan temu biednemu człowiekowi wielką krzywdę. Mogę panu zaręczyć najsolenniej, że cokolwiek nie jest oprawne w pargamin, nie zwraca wcale jego uwagi, a ponieważ pańska narzeczona nie ma zaszczytu być do pargaminu podobną, nie może zatem rościć nawet do tego pretensyi, by kiedykolwiek nią się zajmował, lub bodaj raczył spojrzeć w jej stronę.

Alison słuchał tych żartów z widoczną niecierpliwością.

— Czy miss Forest z nim często rozmawia?

— Przyszło by jej to z wielką trudnością! Dopóki ja tu byłem przynajmniej, zdawało się że oboje przestali raptem władać językiem, tak zawsze niemy był ich ukłon, gdy spotkali się kiedy niekiedy. Nie obrażaj że pan swojej narzeczonej, przypisując jej gust tak niegodziwy! Gdzież podziała się pańska godność osobista, którą dotąd tak zdawałeś się cenić wysoko? Czy pan doprawdy kładziesz się na równi i chcesz stawać z takim nędznym skrybentem?

Czoło Alison'a zaczęło się rozchmurzać.

— Masz pan słuszność! To by było śmiesznem! Miałem w Ameryce tylu rywalów starających się również o pozyskanie względów miss Forest, i nie bałem się przecież z nich żadnego. A nie byli to wcale przeciwnicy do pogardzenia! Na widok jednak tego — jak go pan słusznie nazwałeś — profesora w suchotach,

dziwne przeczucie serce mi ścisnęło, jak gdyby on mógł mi być kiedyś niebezpiecznym!

— Przeczucie? — odparł Atkins pogardliwie. — Nie zacznij-że pan przynajmniej chorować na przeczucia! Jest bo też to jeden z tutejszych nadzwyczajnych wynalazków! Ponieważ ci ludzie nie umieją nic naprzód obrachować rozsądnie, więc zawsze coś przeczuwają. Pan przecie nie popadniesz w podobną niedorzeczność.

Alison nie zdążył odpowiedzieć bo w tej chwili zjawiła się młoda pokojówka, która oświadczywszy powrót pań swoich, zaprosiła w ich imieniu gości do salonu.

Joanna nie wspominała, ze zwykłą u niej konsekwencyą w działaniu, nawet w obec krewnych o stosunkach, jakie ją łączyły z Alisonem; skutkiem tego, spotkanie z nim musiało wypaść bardzo zimno, jakby był jej zupełnie obcym. Upłynęło pięć miesięcy od czasu jak widział Joannę w pięknym salonie w domu jej ojca, ubraną z elegancyą wytworną. Teraz ujrzał tę postać wyniosłą w skromnej szacie żałobnej, w saloniku państwa Etienne, przybranym ubożuchno w meble starożytne w stylu gotyckim. Sprawiłoż to pięciomiesięczne rozłączenie, czy też kontrast tak uderzający w otoczeniu, dość, że Joanna nie wydała mu się nigdy jeszcze tak wspaniale piękną!

— Darujesz miss Forest, że nie mogłem przenieść na sobie wiedząc, iż jesteś tak blisko, żeby nie wstąpić w podróży mojej do miejsca twego pobytu. Pan Atkins mnie zapewniał, iż mogę liczyć na łaskawe ze strony pani przyjęcie.

Joanna rękę mu podała.

— Każdy ziomek jest mi równie miłym i pożądanym. Oczy ich spotkały się w niemem powitaniu, jedynem między nimi; zresztą nie zdradziło najlżejsze choćby poruszenie, że to ma być para narzeczonych, którzy widzą się raz pierwszy, po półrocznem rozłączeniu! Oboje umieli panować mistrzowsko nad sobą, oboje nadto nawykli do form zimnych, konwencyonalnych, żeby mieli teraz przekroczyć granice i zdradzić przedwcześnie stosunek, który miał jeszcze pozostać tajemnicą.

Joanna obróciła się do wujenki przedstawiając jej Alisona:

— Przyjaciel naszego domu. — Doktorowa skłoniła się grzecznie. Dotąd pojąć nie mogła śmiałości i pewności, z jaką miss Forest przyjmowała obcych mężczyzn. Według jej mniemania, taka młoda dziewczyna powinna tulić się trwożliwie pod jej skrzydła opiekuńcze, i zaledwie od czasu do czasu wtrącić do rozmowy jakieś słówko nieśmiałe. Joanna urządziła wszystko wręcz przeciwnie. Tak umiała opanować staruszkę natury wcale odważnej, i która dotąd nie grzeszyła bynajmniej nieśmiałością, wyznaczyła jej rolę tak bierną w jej własnym salonie, że biedna wujenka miała zawsze to nader przykre uczucie, iż jest tu prawie niepotrzebną i zbyteczną.

Alison usiadł naprzeciw pań. Mówiono o jego podróży, o Anglji, Francji i Niemczech.

Alison jednakże mały brał udział w rozmowie ogólnej. Czekał od chwili do chwili z niecierpliwością coraz wzrastającą, że mu przecież Atkins dopomoże i znajdzie sposobność zostawienia go sam na sam z miss Jenny; ale Atkinsowi o tem się nawet nie śniło. Przeciwnie, ze złośliwością sobie właściwą patrzał drwiąco na młodego człowieka, którego rozdrażnienie dochodziło już do najwyższego stopnia, i przedłużał umyślnie rozmowę w nieskończoność. Młody Amerykanin nie był jednak człowiekiem, któryby pozwolił długo drwić ze siebie. Widząc że mu nikt nie myśli przyjść w pomoc, chwycił sam za ster, by dobić do brzegu. — Skłoniwszy się grzecznie, oświadczył, że ma wiadomości i listy z domu, które radby oddać miss Forest, ale tylko „jej samej“.

Jenny podniosła się w tej chwili i poprowadziła gościa — wytłumaczywszy się przed wujenką kilkoma słowy — do przyległych pokoi, które były jej wyłącznie oddane.

Wujenka, rozumie się, zrobiła znowu wielkie oczy, ale Jenny jak zwykle nie troszczyła się o to bynajmniej, zostawiwszy Atkinsowi miłe zadanie uspokojenia i oswojenia wujenki.

Gdy tylko zamknęły się drzwi za nimi, Alison przystąpił z uczuciem namiętnem do Jenny, które tak długo całą siłą woli starał się opanować, by się z niem przed obcymi nie zdradzić, i wyciągnął do niej ramiona. Jenny jednak cofnęła się szybko, zasłaniając się ręką przed jego uściskiem.

— Daruj Jenny, że musiałem użyć środka tak niezgrabnego, ale nie mogłem znieść dłużej tego przymusu!

Wziął ją tylko za rączkę, której wprawdzie nie broniła, ale też nie oddała mu nawzajem uścisku gorącego.

— Niepotrzebnie chwyciłeś się pan środka tak heroicznego! Pan Atkins byłby prędzej czy później obmyślił sposób zostawienia nas samych, który wydałby się był mojej wujence mniej uderzającym i niewłaściwym.

Zimna ta uwaga, ostudziła natychmiast uniesienie namiętne Alisona; puścił jej rękę.

— Zdajesz się pani wielce obawiać, żeby państwo Etienne nie domyślili się naszego stosunku?

— Przynajmniej nie życzę sobie wcale tego!

— A przecież jest to nieuniknionem.

— Zdaje mi się, że to wyłącznie od nas samych zależy, tem bardziej, że pański pobyt w L* — jak mi sam pisałeś — może trwać zaledwie dni kilka.

— Z pewnością! Nie mam powodu ani ochoty przedłużać go.

Joanna uczuła gorzką przymówkę. Zmieniła też prędko przedmiot rozmowy, gdyż ten temat zaczynał być niebezpiecznym i nadto drażliwym.

— Chcesz pan jechać obecnie nad Ren? Mówią głośno o bliskiem wypowiedzeniu wojny Prusom przez Francję i o wkroczeniu tejże w nadreńskie prowincje.

Alison wzruszył ramionami.

— Nie bardzo w to wierzę. Gdyby jednak wojna miała istotnie wybuchnąć, Francja wydaje mi się tak źle uorganizowaną, tak zdemoralizowaną, że raczej Prusy nad nią wezmą przewagę, i w razie zaczepki z jej strony zechcą przenieść teatr wojny na jej terytorjum. Kto

wie, czy i pani byłabyś wtedy bezpieczną, gdy wojna zajmie i tę prowincję? Wtedy powrócę natychmiast, by być razem z panią i wywieźć ją ztąd jak najprędzej.

— Więc pan raczysz przypuszczać na pewno, że Prusy zaleją całą Francję?

— Jest to bardzo prawdopodobnem. Czy pani się tego nie obawiasz?

— Ja?! — Joanna podniosła głowę ze zwykłym jej wyrazem dumy i energii — ja mam niepłonną nadzieję, że potrafimy bądź co bądź obronić naszą ojczyznę od najeźdzcy. Przecież koalicja całej Europy przeciw Francji za Napoleona I. była jeszcze potężniejszą, a Francji nie pokonała.

— „My! naszą ojczyznę!“ — powtórzył z przyciskiem Alison. — Myślałem dotąd, że miss Forest uważa Amerykę za swoją ojczyznę, że o niej myśli jedynie z dumą i poczuciem jej wielkości. Ameryka dała pani wszystko — Francja nie miała dla ciebie i twoich kawałka chleba, gdyś ją w latach dziecięcych zamieszkiwała.

Joanna do krwi usta zagryzła. Pocóż bo te usta niedyskretne, właśnie teraz zdradziły się z przypomnieniem owej chwili, która nie chce wyjść z jej serca i pamięci! „My! nasza ojczyzna!“ — inne usta wymawiały wtedy te słowa, z takim ogniem, z takiem natchnieniem, że znowu serce Joannie zadrżało i cała spłonęła. Odwróciła się szybko do okna i zajęła się wazonkami kwiatów, które na niem stały.

Alison nie spuszczał z niej oka. Studjował ją widocznie ostro i badawczo.

— Zdaje się, żeś pani w wielu rzeczach zdanie zmieniła, odkąd jesteś na ziemi francuskiej, i sympatje twoje inny wzięły kierunek!

Rzuciła się gniewnie, zwracając napowrót głowę ku niemu.

— Czuję się tu skrępowaną! zmęczoną, udręczoną! Co dzień, co godzina, ponoszę nową ofiarę, przebywając tutaj. Nieraz ledwie zdołam wytrzymać to wszystko!

Głos jej drżał od wzruszenia namiętnego. Nie uszło to uwagi Alisona. On jej dotąd nie znał inną, tylko zimną, panującą nad sobą. Wytłumaczył sobie jednak całkiem fałszywie ten wybuch gwałtowny, oczy mu zalśniły radośnem zadowoleniem, przystąpił znowu całkiem blisko i chwycił gorącą jej rękę.

— Od ciebie jedynie zależy droga Jenny, skrócić czas tej ciężkiej próby. Pozwól mi już teraz upomnieć się o to szczęście, które dopiero po roku miało mi się dostać, a które jest mojem najgorętszem życzeniem. Za kilka tygodni możemy dopełnić wszelkich formalności, a wtedy dokończymy razem naszą podróż po kontynencie, lub jeżeli sobie tego będziesz życzyła, wrócimy natychmiast do Ameryki.

— Nie! nie! Harry! to jest niepodobnem!

Alison cofnął się o krok w tył odtrącając ją prawie.

— Dlaczego? — spytał głosem ostrym i przykrym.

Joanna uczuła, że jej odpowiedź tak niechętna, wymagała gwałtem wytłumaczenia.

— Noszę dotąd żałobę po ojcu — odpowiedziała tonem łagodniejszym. — Zresztą w tem wszystkiem idę za jego wolą ostatnią i zastosowuję się do jego rozporządzeń.

— Było to pierwotnem twojem życzeniem Jenny, o którem pan Forest nic nie wiedział. Zrozumiałem, że przy łożu śmiertelnem ojca nie chciałaś zostać narzeczoną, tem bardziej, że i moja podróż miała o cały rok odwlec chwilę naszego połączenia. Dziś tamten powód nie istnieje, przypadek sprowadził nas razem. Nie chcesz brać ślubu w żałobie — dobrze, nie będę natrętnym, ale proszę, nawet żądam tego, żeby dłużej nie utrzymywać w głębokiej tajemnicy stosunku naszego, żebyś przed całym światem oświadczyła, że jesteś moją narzeczoną i w sposób właściwy, jako twego narzeczonego, przyjmowała mnie w domu twoich wujowstwa.

Ton, w jakim wypowiedział swoje, zresztą bardzo słuszne żądanie, był tak decydującym, energicznym, iż odmowa zdawała się tu niepodobną i każda inna byłaby się z trudnością na nią odważyła.

Alison jednak zapomniał, że Jenny była mu zupełnie równą co do dumy i energii, i że sposób, w jakim do niej przemawiał, był najmniej właściwym by ją skłonić do ustępstw, choćby najlżejszych. To „żądam“ zabrzmiało niezwykle i niemiło w uszach samowolnej dziewczyny, zaraz też powstała przeciw temu wyrażeniu z całą silną wolą i uporem nieugiętym.

— Zapominasz panie Alison, że jeszcze ten czas nie nadszedł, kiedy ci wolno będzie „żądać“ czegokolwiek. Warunek, który dałam ci, a który ty w zupełności przyjąłeś, zależy jak wtedy, tak i teraz, odemnie jedynie. Powody, które mnie dać go skłoniły, zawisły od mego sposobu widzenia. Nie uważam za potrzebne zmienić go i zwolnić pana z niego. „Nie chcę“! rozumiesz pan?

Słowo „nie chcę“ wyszło znowu z ust Joanny ostre jak sztylet! Brzmiało zupełnie tak samo wyzywająco, jak owo nieszczęsne: „pióra szermierze“ przed kilkoma dniami wypowiedziane. Może i tu również chciała doprowadzić do ostateczności, tym razem jednak, wrażenie było zupełnie inne.

Alison zamilkł na chwilę. Gdyby Joanna była tylko piękną, a nie tak bogatą, możeby podrażniona godność męzka była mu podyktowała odpowiedź, która przy szorstkości i nieugiętości tych obu charakterów, musiałaby spowodować zupełne zerwanie ich stosunku. Młody kupiec atoli umiał zanadto dobrze rachować. Wypuszczać z rąk taką zdobycz, dla przemijającego kaprysu i uporu niewieściego, toby była niedorzeczność nie do darowania! Czuł zresztą dobrze, że dotąd praw żadnych dyktować nie może. Z czołem chmurnem, z widoczną walką wewnętrzną ustąpił — bo musiał.

— Jesteś nieprzystępną i twardą jak skała, Jenny! Niechże się stanie podług twojej woli. Ale pamiętaj! — tu głos jego zadrżał gniewem tłumionym — że i ja odebrałem od ciebie przyrzeczenie, a gdy przyjdzie czas, potrafię upomnieć się o dopełnienie tegoż, i będę wtedy równie bezwzględnym i nieubłaganym jak ty nią teraz jesteś.

Jenny zbladła jak chusta, jednak oczu nie spuściła, a wytrzymując śmiało wzrok jego rzekła:

— Słowo moje kładę na równi z przysięgą! Nie złamię go tak samo, jakbym nie naruszyła przysięgi.

— I dajesz mi to słowo teraz, tak samo jak wtedy, dobrowolnie? — zapytał Alison przeszywając ją na wskróś okiem.

Joanna zawahała się chwilę, krótką jak błyskawica, nagle jednak sama wzięła go za rękę.

— Powtarzam dziś i daję słowo z własnej woli.

Alison odetchnął głęboko i uścisnął jej rękę, żelazną dłonią.

— Dziękuję! Na wiosnę powrócę, aby zabrać z sobą moją żonę; aż dotąd bądź pani wolną, tak jak tego żądasz.

Milczenie głębokie zapanowało, nader przykre dla obojga. Joanna pierwsza przemówiła:

— Zdaje mi się, że byłby wielki czas wrócić do wujenki i pana Atkinsa.

Alison nic nie mówiąc drzwi otworzył szeroko i poszedł za Joanną do salonu, gdzie już tymczasem pojawił się sam gospodarz. Rozmowa ożywiła się wielce, gdyż dr. Etienne umiał odcinać się panu Atkinsowi, parując wszystkie jego złośliwości i krytyczne uwagi, niewinną bronią lekkiego dowcipu francuskiego.

— Jakżeś pan znalazł miss Jenny? - zapytał Atkins swego młodego towarzysza, gdy w pół godziny potem znaleźli się na ulicy.

— Zmienioną! — brzmiała krótka, chmurna odpowiedź.

Atkins machnął ręką niecierpliwie.

— Czyste urojenie! To pan zmieniłeś się nie do poznania! Przywiozłeś pan sobie s p l e e n z tego mglistego Londynu! Dobrze żeś z tamtąd wyjechał w jakieś weselsze strony.

Alison nic już nie odpowiedział, pożegnał go szybkiem ręki podaniem i odszedł.

Joanna wróciła do swoich pokoi, dokąd też i Atkins za nią pospieszył. Podeszła ku niemu i zapytała szybko, jakby chciała usunąć wszelki bliższy przedmiot rozmowy:

— Przywozisz mi pan wiadomości z podróży. Domyślam się ich. Nadaremnie? nic? nic, jak zwykle?

— Tym razem nie!

Joanna wlepiła wzrok w niego, jakby uszom własnym wierzyć nie chciała.

— Co pan mówisz?

— Mamy pewne wskazówki.

Joanna drgnęła całem ciałem.

— O moim bracie?

— Tylko spokojnie, miss Jenny — odpowiedział zimno Atkins, kładąc rękę na jej ramieniu — rzecz nie jest jeszcze bynajmniej rozstrzygniętą! Słaby promyk nadziei, który na to tylko nam zabłysnął, żeby znowu zgasnąć w ciemnościach nader trudnych do rozwikłania. Oto jedyny rezultat, który ci przywożę.

Miss Forest zdobyła się na krew zimniejszą.

— Zawsze wiele! Pierwszy to ślad życia i istnienia jego! Cóżeś pan odkrył? Kogoś odszukał?

— Hamuj twoją niecierpliwość, Jenny! Będę o ile możności jasnym i zwięzłym. Szczegółów bliższych dowiesz się później. Wiesz, że przejeżdżając przez Brest, zrobiłem ogłoszenie, na które dotąd nie miałem odpowiedzi. Pojechałem tam jednak, ulegając twemu życzeniu, aby przekonać się osobiście o bezowocności naszych zabiegów. W pierwszych dniach mego pobytu zdawało mi się, żem znowu jeździł daremnie, trzeciego dnia atoli zgłosił się do mnie pewien majtek.

— Majtek? — powtórzyła Joanna zdziwiona.

— Nieinaczej! Zawinął był właśnie do portu ze swoim okrętem, dowiedział się przypadkiem o mojem ogłoszeniu i przyszedł mi opowiedzieć, że lat temu dwadzieścia, sąsiedzi jego rodziców, ubodzy rybacy, mający nędzną chatkę nad brzegiem Loary, w małej wioszczynie niedaleko Brest, pojechali do tegoż miasta w dzień targowy, a wrócili z chłopczykiem znalezionym, który odtąd wychowywał się i rósł z ich synem pospołu. Opowiadanie tego człowieka wydało mi się tak prawdziwem, szczegóły wszystkie tak się zgadzały, że wypłaciłem mu wyznaczoną nagrodę i napisałem bezzwłocznie do miejsca mi wskazanego.

(C. d. n.)

STRUMIEŃ.

Przejrzyste i przeźrocze
Wciąż zdroje toczę, toczę —
Raz w gładkie zwierciadełko,
Łzą raz, a raz perełką.

Wpatrzone w jasne fale
Turkusy i korale
W mych się kryształach dwoją,
W moje się perły stroją.

Nadbrzeżnych majów zwoje,
Kaliny i powoje
Wciąż pieszczą, głaszczą, wieńczą
Me fale całą tęczą.

*

W przejrzystej zdrojów toni
Rybka za falą goni,
Gdzie zdrój się odlał gładszy,
W blask, jak z okienka patrzy.

Jaskółka widzi na dnie
Robaczka, co w toń wpadnie,
Podchodzi do okienka
I z pluskiem szyba pęka.

Błękit, różane zorze
Mym falom ścielą łoże;
Gwiazdy, gdy noc pogodna,
Nurzają się aż do dna.

*

W zadumie suną smętnej,
To rwą się w pląs namiętny
I wartkie, kipiąc pianą
Mkną zdroje w dal nieznaną!

Tu kwiat spragniony musną,
Tam wstrętny brzeg oplusną —
Tu groblę szarpną chytrą,
Tam skale rogów przytrą.

To z brzozą się popieszczą,
To trzciną zaszeleszczą,
I po kamykach depcą,
I szemrzą, szumią, szepcą.

*

Przejrzyste i przeźrocze
Wciąż zdroje toczę, toczę —
Ach, śmiały boży goniec
Nie dbam o biegu koniec!

Dość mi tak szumieć, roić,
I wdzięk okolny dwoić;
Dość listkiem łóz się bawić,
Kwiaty i gwiazdy pławić;

Dość z majem dzielić serce
I w ciągłej być rozterce
Z brzegiem, co sterczy zdradnie,
I wciąż — wciąż z niebem na dnie!

B. Komorowski.

Dwie miłości.

NOWELKA.

(Dok.) Emilka po jego odejściu stała długo jakby się bała, lub nie miała siły ruszyć się z miejsca. Byłoż to na jawie? czy tylko jej się śniło? Własną rekę przycisnęła do ust namiętnie — boć ona w jego dłoniach spoczywała! Sama nie wiedziała co się z nią dzieje! Upojona, rozmarzona, upadła wreszcie na fotel zasłaniając twarz rękoma i wybuchając nerwowym płaczem.

Tak samo nieruchomą zastała ją jeszcze Marta, gdy późno wieczór do domu wróciła. Na odgłos znanych kroków zerwała się Emilka, a rzucając się matce na szyję, zaczęła jej wszystko opowiadać, głosem urywanym.

— Mateczko droga! Rudolf był tu... po kwiaty przyszedł... On nie dumny, nie! Jak anioł dobry! nazywał mnie po dawnemu „Emilko“ i kazał mi mówić sobie także po imieniu! Wszystko pamięta... nasze zabawy... twoje podpłomyki... Przyjdzie tu kiedyś znowu... przyjdzie... obiecał! O! mateczko moja!

— Bóg z tobą dziecię! Bóg z tobą! Cóż ci z niego przyjdzie? Co? powiedz sama! — i biedna matka tłumiąc łzy gorzkie i smutnie głową potrząsając, tuliła i podtrzymywała córkę omdlewającą. — Połóż się lepiej dziecię, wypocznij; żebym to była przeczuła, nie byłabym cię na krok odstąpiła. A jeszcze mnie tak długo u prezydentów zatrzymano! Strach co tam za parada! co za bal wspaniały! Przyniosłam ci wina i ciastek, może cię to trochę posili.

— Nie, nie mateczko! Nic mi nie potrzeba. Idź spać, a ja tu usiądę i będę patrzała trochę, na bal u prezydentów.

Marta spracowana, wkrótce usnęła, a Emilka długo, długo jeszcze siedziała, wpatrując się w okna pałacu rzęsiście oświetlone. Pary tańcujące raz po raz po pod okna wirowały, lecz jej oko jego jednego szukało, tylko za nim śledziło. Wreszcie ujrzała go sam na sam z narzeczoną w przyległym pokoju. Czy jej się zdawało, czy był jakby niezadowolony? Mówił coś z żywością niezwykłą do Idy, ona uśmiechała się ironicznie i z widoczną niechęcią odpowiadała, mnąc niemiłosiernie wachlarz w ręku. Pod naciskiem jej palców skurczonych pękł wachlarz na dwoje, rzuciła go w kąt z gniewem i odeszła zostawiając Rudolfa samego. Ten stał jeszcze czas jakiś opierając czoło o zimną szybę, a potem tarł je gwałtownie ręką, jakby chciał oddalić smutne dręczące myśli. Co to wszystko znaczyć miało? Bal się skończył, powozy porozjeżdżały, światła w oknach pogasły. Emilka też się udała na spoczynek. Sen jednak nie przychodził pokrzepić jej i tak wątłe siły. Była dziwnie niespokojna, dziwnie strwożona. Nad ranem dopiero zasnęła snem twardym.

Marta już się od dawna krzątała w kuchence nie chcąc córce snu przerywać, gdy drzwi z łoskotem otworzono i na progu pokazała się Anna, kucharka długoletnia państwa prezydentów, z twarzą bladą i wystraszoną, z oczyma zapłakanemi, a załamując ręce zawołała:

— Oj nieszczęście pani Marto! nieszczęście! A wszystkiemu winna ta przeklęta zalotnica! bez serca! bez sumienia! Nie darmo my wszyscy tej żółto-włosej pannicy znosić nie mogli!

— Ależ na Boga ukrzyżowanego! gadajcie Anno co się stało?

— A no co! Na balu, na swoich zaręczynach — czy to rzeczy słyszane! wdzięczyła się do jakiegoś hrabiego, a on do niej — nasz panicz gorączka — od słowa do słowa przyszło, że się wyzwali na pojedynek — bo to u panów bez tego ani rusz! i ot widzicie... wiozą naszego panicza do domu z piersią przestrzeloną!

Gdy opowiadanie kończyła, z pokoiku przyległego ozwał się krzyk tak bolesny, że życzyć należało tej, która go wydała, żeby i życie razem z nim uleciało. Marta przerażona wpadła do izby, i przyjęła w swoje ramiona mdlejącą córkę. Gdy ją otrzeźwiono, pierwsze jej słowa były:

— Mamo, mamo, niech ja go jeszcze raz zobaczę! na chwilkę bodaj! ale go widzieć muszę!

— I cóż mu dziecko poradzisz! Czyż by cię tam wpuszczono? To być nie może!

— Więc będę się modliła za niego — i upadła łkając na kolana, przed Marji obrazem...

Nazajutrz rano przyszedł stary Jan, posiwiały w usługach u państwa prezydentów, spytać się, czy panna Emilja podejmie się uwić wieniec na trumnę młodego pana? — Głos jego drżał... a po zwiędłych zmarszczonych licach łza za łzą spływała.

— Boże mój, Boże! Więc ja ci mam wić wieniec śmiertelny? — jęknęła dziewica. — Ależ prawda! jeżeli nie pękło to biedne serce, równocześnie gdy twoje bić przestało, to li dla tego, żeby ci oddać tę ostatnią usługę. Przynajmniej wolno mi cię kochać! wolno moim najdroższym

po za grobem nazywać! Przed nikim nie potrzebuję się z tego tłumaczyć, nie potrzebuję więcej się taić z uczuciem, które całą moja istność przejmuje.

Nad wieczorem wieniec był skończony, piękniejszego nikt nigdy nie widział. Każdy kwiat, nim wplotła do wieńca całowała i łzami skrapiała Emilja, jakby te kwiaty mogły to wszystko opowiedzieć umarłemu. Chwiejnym krokiem jednak poszła z nim sama. Na wschodach spotkała pannę Idę, trochę bledszą, wprawdzie czarno ubraną, ale o ile można wytwornie. Na jej pokorny ukłon ledwie głową ruszyła i oświadczyła zimno:

— Że może „p a n n a“ sama odnieść wieniec, ją to zanadto alteruje i na nerwy działa!

Tego tylko pragnęła Emilka! Wsunęła się jak cień do pokoju umarłego, a przypadłszy do stopni katafalku, i znalazłszy się sama jedna, całowała gorąco zimną rękę, wpatrywała się z rozkoszą w twarz bladą, a jeszcze tak piękną, tak młodą, jakby zasnął tylko snem błogim. Po chwili ośmieliła się nawet uciąć mu kosmyk włosów, umyślnie na to nożyczki z domu wzięła, a znalazłszy w przyległym pokoju ów wieniec porzucony, który Ida jadąc z balu do domu, dla wygody zapewne z głowy zrzuciła, wyjęła z niego jedną gałązeczkę. Wszak ręce jego tych kwiatów się dotykały: tak delikatnie rozplątywał wieniec z jej włosów! Z temi drogiemi pamiątkami wróciła do domu o wiele spokojniejsza, a wyszukawszy pudełeczko z muszelkami, które niegdyś od Rudolfa dostała złożyła tam swoje skarby, z ostatnią łzą gorącą.

Panna Ida zamówiła u niej kapelusz czarny, krepowy, lecz znalazła go szkaradnym! Najprzód kazała dodać do niego skabiozy — i tak nie było jej do twarzy, więc zdecydowała się na wieniec z fiołków — ale bez liści zielonych. B l o n d y n k o m f i o ł k i t a k s ą d o t w a r z y!

Pogrzeb odbył się paradnie, ze zwykłemi akcesorjami. Matka biedna mdlała na prawdę nad grobem jedynaka, panna Ida udawała że mdleje, z taką gracją i sztuką, że nie jedna aktorka mogła jej tego pozazdrościć. Przez ten cały czas Emilka siedziała cichutko w swojej izdebce, a wpatrzona w swoje skarby jedyne, przypominała sobie chwilę przelotną z nim spędzoną i ostatnie pożegnanie.

W pół roku dom ojca Idy rozbrzmiewał huczną muzyką, a odgłos kielichów wiwatowych zapowiadał odjazd państwa młodych, którzy modnym zwyczajem na rok cały za granicę się wynosili. Ida była hrabiną S.! Był to ten sam pan hrabia, co tak krwawo przerwarł jej pierwsze zaręczyny. Silna protekcja pomogła mu bezkarnie wrócić do kraju. Bankier był rozpromieniony!

— To mi ale zięć! — szepnął do ucha pani prezesowej D., swojej dawnej i dobrej przyjaciółce — już jak zapłacić to przynajmniej widzieć córkę hrabiną!

— Ta kochana Ida! — odrzekła złośliwie prezesowa — jak to szczęśliwie, że tak prędko potrafiła otrząść się ze smutnych wrażeń po śmierci Rudolfa. Pamiętam jak była cudna w omdleniu na cmentarzu, przy jego grobie, prawdziwy posąg boleści! Wszyscy ją wtedy podziwiali! Wszak to temu będzie pół roku?

— To nie był mąż dla niej — mruknął bankier niechętnie — egzaltowany! niepraktyczny! byłaby z nim najnieszczęśliwszą!

* * *

O tym samym czasie, z pomieszkania Marty, wyjeżdżał wóz żałobny, skromny, ubogi... a na nim jej pociecha jedyna, Emilka! Do ostatniej chwili pracowała, do ostatniej chwili była dobra i cicha, tylko coraz bledsza, coraz smutniejsza... wreszcie Bóg się ulitował nad tym biednym, zabłąkanym na ziemski padoł aniołem, i przyjął ją znowu, tę duszę tak czystą, a tak zbolałą, do swojej chwały. Gdy matka w rozpaczy łamała ręce nad jej łożem śmiertelnem, szepnęła jej jako ostatnie pożegnanie:

— Matko moja, nie płacz. Tam! wszyscy się zobaczymy.

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(C. d.) I znowu raz zeszła karawana w dół w dolinę Liunchy, maleńkiej, w jezioro wpadającej rzeczki — i następnie po raz ostatni już, wdarła się na ostatni z mnogich grzebieni gór. I oto nagle rozpostarł się przed oczyma naszych podróżnych widok na jezioro i brzegi Udszidszi ze swemi portami, strojnemi w palmy, rozłożone na żyznej, uśmiechającej się równinie, już tylko najwyżej 500 kroków od nich.

Stanley uszykował swoją karawanę, ażeby z możliwą pompą wjazd odbyć, postawiwszy na czele Kirangosiego z gwiaździstą flagą, a za nim uzbrojonych ludzi, należących do wyprawy, którzy grzmiąc salwą strzałów, wnet całą ludność Udszidszi zerwali na nogi.

Wśród wrzawy, okrzyków radośnych i strzałów swoich ludzi, wykrzyków zdziwienia pokolenia Wadschidyzi, zamieszkującego Udszidszi, oraz natarczywych zapytań tych krajowców: jak możebnem było z Unjanjembe do jeziora Tanganjika się przebić? — Naraz usłyszał Stanley głos pozdrawiający go angielskiem: „Good morning, Sir!“ jednego z mieszkańców, ze słów którego powziął Stanley tę radosną pewność, że Livingstone w Udszidszi istotnie przebywa i że za chwilę znajdzie t e g o, którego z takiem wysileniem szukał.

Wkrótce spostrzegł też Stanley, w jednej z gromad, w półkolu brodatych, oturbanionych Arabów, białego człowieka, z siwemi włosami, w niebieskiej czapce z wyblakłym, złotym galonem na głowie.

Stanley chciałby mu był rzucić się odrazu w ramiona, wiedząc jednak, że wolny, otwarty objaw uczucia w szacunku Arabów nader nisko go postawi, powstrzymał się, i poważnie, z taktem, przystępując do białego człowieka, zdjął kapelusz i spytał:

— Pan jesteś niewątpliwie Dr. Livingstone? — na co zapytany odpowiedział z przyjaźnym uśmiechem:

— Tak, panie. —

Te proste słowa w historii odkryć afrykańskich pamiętnemi zostały i nigdy być niemi nie przestaną.

— Stanley znalazł Livingstone'a. „Włożyłem kapelusz na głowę — opowiada dalej Stanley — a on czapkę swoją; uścisnęliśmy sobie silnie ręce, poczem wyrzekłem głośno: „Dziękuję Bogu, Doktorze, że mi pana znaleźć dozwolił."

— Co do mnie, cieszę się, że mogę pana tu powitać, odrzekł na to Livingstone.

„Arabowie Livingstone'a, którym pojedynczo przedstawiony zostałem, przyjęli mnie rozgłośnemi „jambo" (wiwatami), za co im zdjęciem kapelusza podziękowałem. Poczem ruszamy na powrót do Livingstone'a „tembe" (chaty). Wskazuje mi na krzesło swoje: matę słomianą, z rozpostartą na niej kozią skórą; druga także skóra przybita do ściany, dla zasłonięcia tyłu głowy i szyi od zetknięcia z chłodną ścianą z gliny.

Wzbraniam się zająć miejsce na tej macie; jemu starszemu człowiekowi przystoi bardziej to uczynić — ale Doktor domaga się, abym usiadł — siadamy więc razem. Livingstone zajmuje miejsce przy mnie, również plecami do ściany. Arabowie siadają po naszej lewicy, przed nami stoi więcej niż tysiąc ciekawych krajowców, których przedmiotem rozmowy jest spotkanie dwóch białych w Udszidszi.

Rozmowa pomiędzy mną a Livingstone'm rozpoczęta. O czem? Prawdziwie, że już nie pamiętam. Zadawaliśmy sobie nawzajem zapytania, jak np. „Jakim że pan sposobem przybyłeś tutaj?" A z mojej strony: „Gdzież pan przebywałeś przez tak długi czas? Świat miał pana oddawna za nieżyjącego!"

W ten sposób rozmowa się ciągnęła, ale z tego, co mi Doktor opowiadał i com ja mu zakomunikował, dokładnej sprawy zdać nie mogę. Miałem dosyć do czynienia, zagłębiony w odczytaniu z powierzchowności dziejów jego życia, i wpatrzony badawczo w lica tego osobliwego człowieka, przy boku którego obecnie w Afryce środkowej siedzę. Każdy włos na jego głowie i w brodzie, każda zmarszczka na jego licach, — opadłe rysy twarzy i zmęczony wzrok mówiły do mnie wyraźnie. Słuchałem i czytałem jednocześnie.

Gdybyś był mógł być, kochany czytelniku, w tym dniu ze mną w Udszidszi, gdybyś mógł był go widzieć i słyszeć! Jego usta podawały mi szczegóły — te usta, które nigdy nie skłamały. Nie jestem w stanie powtórzyć, co mówił, byłem zbyt zajęty, by wyjmować książkę notatek i w niej dzieje życia stenografować. On miał tyle do opowiedzenia, że od końca zaczął i zapominać się zdawał; miał zdać sprawę z doznanych przejść swoich w przeciągu pięciu do sześciu lat.

Z godnym uznania taktem, Arabowie wstali — czując, że sami zostać chcemy. Zawołałem żołnierza Kaif-Haleka, którego w Unjanjembe spotkałem i który mi, jak wspomniałem powyżej, towarzyszył ztamtąd aż tu, z workiem listów Dra Kirka. 1. Listopada 1870 wszystkie te korespondencje z Zanzibaru wysłane zostały; w 365 dni później dostały się do rąk Livingstone'a; chciałbym też wiedzieć, jak długo leżałyby one w Unjanjembe, gdyby mnie nie wysłano do wnętrza Afryki!

Doktor zatrzymał worek z listami na swych kolanach — i odczytał kilka listów od swoich dzieci. Poczem spytał mnie o najnowsze wiadomości.

— Nie, Doktorze — odrzekłem. Przeczytaj pan przedewszystkiem wszystkie wysłane do ciebie listy. Musi cię treść ich wabić i zaciekawiać.

— Ach — odrzekł Livingstone — całe lata na nie czekałem, nauczyłem się cierpliwości; mogę więc jeszcze parę godzin poczekać. Opowiedz mi pan wielkie nowiny? Co słychać w świecie?

— Wiesz-że pan o otwarciu kanału Suezkiego i ułatwieniu tym sposobem regularnego handlu między Europą a Indjami?

— Nowina to dla mnie. Cóż dalej?

Wkrótce byłem w najlepszym ferworze opowiadania nowin. Przesadzać nie potrzebowałem; świat przecież przeżył w ostatnich latach tyle interesujących zdarzeń. Kolej Pacyfiku ukończono; Grant prezydentem Stanów Zjednoczonych obrany; liczni uczeni zwiedzali Egipt; powstanie na Krecie wygasło — nowa hiszpańska rewolucja spędziła z tronu Izabellę a na jej miejscu posadziła regenta, generała Prima zamordowano; Prusy upokorzyły Danję, Szleswig-Holstein anektowały i armje ich stoją obecnie pod Paryżem; „sternik losów Europy" więźniem w Wilhelmshöhe; Królowa mody i Cesarzowa Francuzów uciekła — a w purpurze urodzony jej syn stracił na zawsze przeznaczoną jego głowie cesarską koronę; z Napoleońską dynastją Prusy, Bismark i Moltke zrobili koniec, i Francję, dumne mocarstwo w proch zdeptali.

Cóż można było, opowiadając powyższe zdarzenia dziejowe, przesadzić? A czyż to nie były ważne nowiny dla człowieka, który właśnie niedawno z głębokich, dziewiczych lasów Manjuemy wyszedł na świat?

Wkrótce potem przyniósł Sayd bon Madszid półmisek porąbanego mięsiwa, Mohamed ben Sali pieczoną kurę, Moeni Khoeri kozią pieczeń i ryż, tak, że w prędce mieliśmy obfity obiad przed sobą, któremu oddaliśmy cześć zasłużoną. Ja zawsze miałem błogosławiony apetyt — ale Livingstona trawienie było w nieładzie, i nic nie przechodziło dotychczas przez jego usta oprócz herbaty; obecnie zaś jadł, jak silny, wygłodniały człowiek i szedł o lepsze ze mną w tępieniu potraw.

— Pan przyniosłeś mi nowe życie, pan przywróciłeś mi zdrowie — rzekł do mnie Livingstone.

— O, na Boga! — zawołałem — toż ja zapomniałem o najważniejszej rzeczy. Żywo Selimie, przynieś mi butelkę — wiesz już o której myślę — a nie zapomnij o srebrnym puharze. W oczekiwaniu tej godziny wziąłem tę butelkę, chociaż ostatniemi czasy nachodziła mnie czasami mimowolna wątpliwość, czy tej chwili dożyję, czy nie!

Selim wiedział, gdzie się znajdowała butelka i wkrótce z nią powrócił; była to butelka szampana. Wręczyłem doktorowi aż po brzegi napełniony srebrny puhar, a sobie wlałem tylko kilka kropel.

— Za zdrowie pańskie, doktorze Livingstone! — zawiwatowałem.

— Dziękuję, i ja piję również za zdrowie pana — odrzekł mi.

I wypróżnialiśmy, wśród wzajemnych życzeń szczęścia, puhary szampańskiego wina, które tak długo na tę chwilę szczęśliwego spotkania chowałem. (C. d. n.)

Pogadanka.

Stało się! Straszne *memento* w postaci Popielca położyło kres rozkosznej fali walca, orlemu polotowi mazura, słodkiej kołysance polki francuskiej i wszystkim tym podobnym błogim wzruszeniom. Rozkoszne fale wróciły do nieznośnego koryta codziennego; orle poloty znalazły się na dobrze wybrukowanej, równej ziemi; kołysanka zamieniła się w surowe *a tempo* powszednich zajęć — ach, doprawdy! wszystko to byłoby nie do zniesienia, gdyby nie po pierwsze, okoliczność, że musi być zniesionem, a powtóre pociecha, żeśmy tacy młodzi, iż niejeden karnawał zaświta nam jeszcze. Marzmy więc o nim tymczasem — wszak i w wielkim poście marzyć wolno! — marzmy i pocieszajmy się, że ten, co się obrócił w popiół, nie był ani ostatnim, ani najmilszym. Rodzony brat „Feniksów“ wstanie on znowu kiedyś z popiołów, w które pogrążył go nielitościwy Popielec, wstanie odrodzony, odmłodzony w różu i bielidle.

Nie brak wreszcie i innej pociechy po tej stracie. Oto n. p. wiosna, ta śliczna pani łąk i ptaszków, już nam niesie piosnkę skowronka, świeże kwiecie i świeże mody paryskie. Pod Krakowem pojawiły się już bociany, u Schayerów i Wojczyńskiego niewątpliwie także się już pojawiły druhy wiosenne, w postaci nowych „fasonów“. Co do wiosny, pani łąk i ptaszków, zdaje się, iż w tym roku pożyczyła ona sobie czarodziejskie buty owe „siedmiomilowe“, których z takiem powodzeniem w r. 1866 używała pewna armia cofająca się z pod Sadowy, albo w r. 1870 inna armia, zdążająca pod Paryż. Tak jej pilno jakoś uraczyć nas kwieciem, umaić w marcu, że naprawdę truchlejemy o maj prawdziwy. Już w początkach lutego tym razem mieliśmy niewątpliwe oznaki wiosny — błoto na ulicach po kostki; w połowie lutego oznaki te mnożąc się statecznie, pozwoliły nam obserwować ślicznie rozwinięte bazie na wierzbach, a w początkach marca w naturalnej progresyi doczekamy się najniezawodniejszej z oznak młodej wiosny: tumanów kurzawy na ulicach! Dopiero będziemy używali rozkoszy wiosennej w całej pełni.

Wiosna — fatalne to słowo dla dyrektorów teatru, koncertantów i wszelkiego stworzenia, żyjącego i tyjącego nie ciepłym słońca promieniem, ani wonią bzów i jaśminów, ale blaskiem kinkiet i eteryczną, chciałem powiedzieć eterową wonią barwików, mastyksów i *eau de Cologne.* Że też jeszcze dotychczas nie umiano przejąć się piękną zasadą, iż można oddawać jednocześnie wdzięcznej aurze to, co jest aury, a teatrowi lub koncertom to, co jest teatralne i koncertowe! Gdzie tam! niech no tylko słońce zacznie zachodzić nie za rogatką stryjską, ale za wulecką, niech tylko się pojawi na trawnikach ruń, na której i gęś by się jeszcze nie napasła — już mamy pretekst do zaniedbywania sali teatralnej i koncertowej. W roku zeszłym z powodu tej brzydkiej jednostronności teatr obchodzić musiał trzymiesięczne ferje „bez gaży“. A czy państwo wiecie, co to znaczą te dwa słówka: „bez gaży?“ Jeżeli nie wiecie, powiem wam tylko, że i najdoskonalszy artysta żyć nie może samą wiosną, samem powietrzem, choćby najpiękniejszem, samem słońcem zachodzącem choćby nawet za gródecką rogatką, samą trawką, choćby mu po pas sięgała; — jeżeli zaś wiecie, co znaczą owe dwa słówka, to przy wielkim poście czyńcie skruchę i poprawcie się na ten rok! Gdyby jednak wiosna roztoczyła przed wami tyle wdzięków, żebyście się oprzeć nie mogli pokusie przepędzenia wieczoru na Wysokim Zamku, zamiast w sali Skarbkowskiej, nie wątpię, że i teatr postara się o magnesy dość potężne. Początek już zrobiony utworami konkursowemi.

W tych dniach właśnie w sali Skarbkowskiej, która się „ukonstytuowała“ w trybunał, skromna liczba 2000 sędziów przysięgłych zebrała się na roki sądu estetycznego po raz pierwszy. Loże, krzesła, galerje „ukonstytuowały się“ w ławy przysięgłych, a scena w ławę obżałowanych, na której ukazała się z mocy uznania komisji śledczej 2-aktowa komedja „Na dwóch stołkach“, jako podsądny nr. 1. Mimo najlepszych chęci artystów, 2000 sędziów przysięgłych nie zdołało odkryć w tych „dwóch stołkach“ nic nadzwyczajnego i śmiało powiedzieć można, że z wielkiego przejęcia się sprawą, właśnie werdykt przysięgłych osiadł na dwóch stołkach, na 2000 głosów bowiem tysiąc brzmiało „ani me, ani be“, drugie tysiąc zaś „ani be, ani me“. Jak widzimy więc z tego rezultatu głosowania, opinie były nietylko podzielone, ale jak uciął przepołowione, co pozwala w każdym razie autorowi „Na dwóch stołkach“ mieć jeszcze nadzieję, że stworzył arcydzieło, a przynajmniej że bodaj jeden z jego dwóch stołków może być uwieńczony laurem. Życzymy mu tego z całego serca, zważywszy zwłaszcza, iż miał najlepsze chęci i że w złym zamiarze nie przysłał swej sztuki na konkurs. Podobno jednak sprawa będzie nieco trudna, ponieważ druga z poleconych do grania sztuk tegorocznego „chudego“ konkursu, komedja „Kochać i kochać“, która zapewne wkrótce się przedstawi 2000 sędziów przysięgłych, jak nam opowiadano, na jednym tylko siedzi stołku, a więc siedzi mocniej. Nie potrzebujemy zresztą być w kłopocie o dzieło premiowane, już z góry bowiem urządziliśmy się tak dobrze, że mieć je musimy. Jak między murzynami nawet Nie-Paragwaju zabraknąć nie może względnie „najbielszego“, tak i na żadnym konkursie nie zabraknie chyba względnie najlepszej sztuki.

Prawdziwą wiosnę artystyczną sprawiła nam dyrekcja teatru wystawieniem „Don Juana“ Mozartowskiego, którego na deskach opery polskiej we Lwowie jeszcześmy nie widzieli. Trudy i koszta poniesione około tej reprezentacyi, bez wątpienia wrócą się nietylko w powszechnem uznaniu faktu zasługi w obec sztuki, ale i w rezultatach kasowych. Nader stosowne było też przedstawienie „Dziadów Mickiewiczowskich“ z muzyką Moniuszki w wieczór popielcowy.

Towarzystwo muzyczne ocknęło się! Zapowiedziało na post sześć wieczorków muzykalnych, na których wykonywane będą utwory muzyki klasycznej i dzieła najznakomitszych kompozytorów. Na wieczorki te otwarty jest abonament. Pierwszy wieczorek odbędzie się, według ogłoszeń, po pierwszym marca. Oczekujemy jednak także koncertu i *Stabat mater.*

w. i.

MYŚLI.

Myli się ten kto sądzi, że brutalność jest objawem złego wychowania, brutalność wypływa z serca.

Nieświadomość z ciemnotą nie są niewinnością. Niewinność duszy i serca możemy zachować do końca życia; niedoświadczenia nie!

Życie jest zagadką, śmierć jej rozwiązaniem.

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA. — WIEDZA.

— Na innem miejscu donieśliśmy, że jubileusz Kraszewskiego ostatecznie obchodzony będzie dnia 30. września w Krakowie. Tu wspomniemy jeszcze o kilku z licznych objawów serdecznej sympatyi i czci, jakie szanownego jubilata czekają z tej okazyi. I tak panie wielkopolskie, niezależnie od całej ludności polskiej tej prowincyi, przysposobiły dla Kraszewskiego dwa bardzo piękne upominki, mianowicie fotel i album. Krzesło jest rzeźbione przez snycerza poznańskiego, p. Grentkowskiego, z drzewa orzechowego w liście. U wierzchołka zdobi je herb Wielkopolski: orzeł z rozpostartemi do lotu skrzydłami. Pokrycie składa się z haftowanych wypukło rękami pań ofiarujących dwunastu herbów województw wielkopolskich, otoczonych kłosami i listkami laurowemi, złotem przerabianemi. Za tło służy jedwabna materja barwy amarantowej. Całe krzesło jest w stylu poważnym, odpowiednim godłom, jakiemi jest pokryte. Dziwnie pięknie rzeźbione przez p. Grentkowskiego jest album pamiątkowe. Wierzchnią jego stronę zdobi ratusz poznański, na stronie odwrotnej u góry księga otwarta a pod nią cyfry 1829—1879 i litery *J. I. K.* Album zawiera sto kilkadziesiąt kart z bardzo ładną winietą pomysłu i kompozycji jednej z Wielkopolanek, a na każdej z kart tych wierszem lub prozą tyleż pań nakreśliło wyrazy czci i wdzięczności dla jubilata. Po karcie dedykacyjnej następuje karta, którą zdobi prześliczny obrazek, pełen poetyckiego ducha, wykonany z niepospolitym artyzmem piórem i sepią przez autorkę winiety. Wyobraża całą niemal treść dziejów polskich, powstające chrześcijaństwo z biskupem na czele, a przed nim anioł z arfą; husarzy skrzydlatych, szlachtę rwącą się do korda i kosyniera przy armacie, oraz Myszą Wieżę, Wawel i t. d. Po pięknym wierszu wstępnym jednej z Wielkopolanek, idzie rozrzewniająca zwrotka nakreślona dłonią stuletniej blisko matrony:

Okrężne u nas! Ziarno od pół wieka
Ręką twą siane, bujny plon wydało —
Więc lud odświętną szatę przyoblekа
Na twe dożynki — całej Polski chwało!
Ja z łanu schodzę — snop mój już przy grobie,
Ty żniwuj dalej! — błogosławię Tobie!

Towarzystwo naukowe toruńskie wysyła do jubilata adres, wykonany w znanym z pięknych prac litograficznych zakładzie Salba w Krakowie. Adres zdobią u góry herby ziem: chełmińskiej, pomorskiej i malborskiej; po lewej widok Chełmna, Kamień legendowy w Belnie, ratusz toruński z pomnikiem Kopernika; w dole widok Torunia, a z drugiej strony dalszy widok Chełmna, tak zwana Zielona brama, Gdańsk i obraz Piotrowskiego „Wanda“. Napis opiewa: „J. I. Kraszewskiemu na weselną pamiątkę rozpoczętego przed 50 laty zawodu pisarskiego, przesyła gorące wyrazy wdzięcznego uznania Towarzystwo naukowe w Toruniu“.

— Jak donoszą z Drezna, tamtejszy komitet jubileuszu Kraszewskiego, uwzględniając życzenie rodaków, w Dreznie przebywających, postanowił w przeddzień imienin jubilata, dnia 18. marca, wręczyć mu medal złoty w Dreznie wybity, oraz urządzić obiad składkowy w hotelu Bellevue o godzinie 5. wieczorem. Osoby zamiejscowe, któreby miały zamiar wziąć w tym obiedzie udział, zechcą się zgłosić do dnia 10. marca do komitetu drezdeńskiego.

— W pierwszych dniach marca odbędzie się w Warszawie pod dyrekcyą prof. Żeleńskiego koncert, poświęcony pamięci Chopina. We Lwowie taki sam koncert odbył się przed dwoma laty, bylibyśmy jednak wdzięczni dyrekcyi naszego Towarzystwa muzycznego, gdyby częściej w podobny sposób czcila pamięć genialnego naszego kompozytora.

— W dalszym ciągu wydawnictwa portretów znakomitych mężów dawniejszych czasów, ukazał się w handlu księgarskim portret natchnionego kaznodziei, księdza Skargi, według rysunku p. Tytusa Maleszewskiego, twórcy „Jana Kochanowskiego“, „Pułaskiego Kazimierza“, „Kościuszki“ i t. d. Najnowszy ten portret litografowany jest przez p. Walckiewicza. Szlachetne rysy Skargi wykonał artysta podług współczesnego wizerunku.

— W Akademii umiejętności w Krakowie odbyły się w ostatnich dniach posiedzenia komisji historycznej i wydziału matematyczno przyrodniczego. Na pierwszem uchwalono na wniosek grona lwowskiego treść i rozkład prac, stanowić mających IV. tom zbioru „Monumenta historica Poloniæ“ (A. Bielowskiego). Tom ten obejmie: 1) Żywoty i legendy; 2) Źródła pruskie; 3) Źródła klasztorne i 4) Varia. Udziału w opracowaniu podjęli się członkowie: Liske, Kętrzyński, Smolka, Pawiński, Hube, Semkowicz, Ćwikliński, Maurer, Papée, Kałużniacki, Wierzbowski i Wisłocki. Polecono następnie komitetowi wydawniczemu obmyślenie środków, aby zebrany przez A. Prochaskę Kodeks dyplomatyczny W. księcia Witolda najrychlej mógł wejść w poczet wydawnictwa komisji. Dr. Piekosiński, przedstawiając znaleziony w Archiwum miejskiem oryginalny statut, wydany r. 1454 w Radzyniu dla ziemi Sanockiej i Przemyskiej, zestawił i porównał go z dotychczas znanemi czterma tekstami statutów prowincjonalnych, znanych pod ogólną nazwą ustawodawstwa Nieszawsko-Opoczyńskiego, na ogólny zaś statut w r. 1496 przez Jana Olbrachta zamienionych. — Na posiedzeniu wydziału matematyczno przyrodniczego, sekretarz przedstawił najnowsze publikacje fachowe i odbyła się dyskusja nad rozprawą dra. Feliksa Kreutza p. t. „Istota różnopostaciowości i stosunek odmiennych modyfikacyj ciał różnopostaciowych“, nad rozprawą dra. Bandrowskiego „O kwasie acetyleno-dwukarbonowym i pochodnych“ oraz nad rozprawą dra. Rehmana „O początku współczesnych okręgów roślinnych.“

— Profesorowie wszechnicy krakowskiej hr. Stanisław Tarnowski i Bobrzyński, odjechali w tych dniach do Poznania celem urządzenia tam kilku odczytów publicznych.

— W salach krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych wystawione są trzy projekta na pomnik papieża Piusa IX., ma-

jący stanąć w katedrze na Wawelu, wykonane przez rzeźbiarza krakowskiego, p. Gadomskiego. Jeden z projektów tych już został przyjęty przez komitet pomnikowy.

— W Bytomiu, na Górnym Szlązku, wyszła z druku książka p. t. „Stary kościół Miechowski.“ Jestto obrazek obyczajów wiejskich, napisany wierszem w narzeczu górno-szląskiem przez księdza Boncka. Jeden z krytyków wyznaje, że zabrał się do czytania nadesłanego sobie utworu „raczej przez szacunek dla uczciwej pracy, krzewiącej na dalekich kresach literaturę krajową, niż w nadziei, żeby w nim znalazł rzeczy prawdziwie piękne i poetyczne“. Doznał przecież, jak powiada, miłego tym razem zawodu, jakoż w rzeczy samej poemat księdza Boncka, skromny w założeniu, odznacza się niepospolitem zacięciem poetyckiem, a miejscami dziwnym wdziękiem prostoty i siłą słowa. Pojedyncze obrazki „Starego kościoła Miechowskiego“ nacechowane są nawet piętnem wyższego talentu. Śliczny w całem znaczeniu tego słowa jest następujący opis piękności lasów:

. . . . Oj znam ja leśnej burzy huki,
Gdy Bóg drzewom rozkaże w dowód swej wszechmocy
Kłaniać się aż ku ziemi! Jęczą, wyją, z procy
Trąb powietrznych ciskane jako deszcz padają...
. . . .
Wyrwane świerki walą ciężaru brzemieniem
Swych sąsiadów o ziemię. Łoskot, trzask, jęk, szumy
Głoszą, że Bóg mścicielem najmocniejszych dumy!
Znam drzew miłe rozprawy, gdy w lekkim powiewie
Wiatru, Bóg z nami mile rozmawia, nie w gniewie,
Lecz najczulej przemawia, bo aż w serc skrytości
Wietrzyk, gdy się w dzień letni w łonie drzew rozgości...
. . . .
. . . . Skrzydlate leśnych gości grono
Poszło gdzieś! Następuje w borach cisza święta,
Zrzadka ją przerwie strzelca pragliwość zawzięta.
Pójdźno potem w las Walku! Tu uczyć się trzeba
Jak to znosić winnniśmy, co nam zeszlą nieba,
Jak to, krzyże choć przykre, jednak pożyteczne,
Jak to, co nas tu boli, ma nagrody wieczne.
Drzewa, niegdyś wesołe w zielonem ubraniu,
Nuż, jak smutne gromnice, po ciężkiem konaniu,
Aż ku ziemi nagięte chylą ręce, barki.
Stękają świerki, jodły zgięły pyszne karki.
Jedno wzorem drugiemu świętej cierpliwości;
Które zrzuci swój ciężar, postawę wyprości,
Niech jest pewne: gdy śliczne znów zawita lato,
Nie będzie tak zieloną szczyciło się szatą,
Jak cierpliwi współbracia, nawet zginie może,
Ciężkiej lecz ciepłej szaty nie zniosłszy w pokorze!

OŚWIATA.

— Do przyjaciół dzieci ogłasza nauczycielka szkoły ludowej w Bolechowie odezwę, która zawiera trafne spostrzeżenia co do sposobów rozbudzenia pomiędzy ludem naszym zamiłowania do książek i pragnienia wiedzy w ogólności. Przytaczamy ją, polecając uwzględnienie jej według możności łaskawym naszym Czytelnikom. Brzmi ona: „Powołana na nauczycielkę kierującą nowoutworzonej szkoły żeńskiej w Bolechowie, natrafiłam na dziwną obojętność ludności, posyłającej dzieci do szkoły, a składającej się przeważnie z ubogich mieszczan i uboższych jeszcze wieśniaków. Chcąc zwalczyć tę apatję, próbowałam różnych środków i z radością spostrzegłam, że bardzo zbawienny skutek wywierają dziełka, które biorąc od rodziców zamożniejszych rozpożyczam ubogiej dziatwie, także robótka mała dobrze wykonana. Za największą nagrodę pilności wypraszają sobie „książeczkę do czytania“, bo mamie lub tatce to lub owo bardzo się podobało. Proszą także o pozwolenie pokazania w domu rysunku lub obrazka, które rodzicom objaśniają. Ale szczuplutki mój zapas wyczerpuje się prędko, dwie szafy szkolne dość wielkie, ale próżne. Do Was więc zacni przyjaciele dzieci i poczciwego ludu naszego, udaję się z prośbą: napełnijcie je dziełkami pouczającemi, a przystępnemi dla umysłu dziecinnego, obrazkami odnoszącemi się do historyi, przyrody, obyczajów, strojów lub pomników narodowych, któremby budziły fantazję, ułatwiały pojęcie i rozwijały poczucie estetyczne. Was także nadobne panie i panienki proszę, składajcie resztki swoich robót ręcznych i przysyłajcie je dla tych, którzy nie mają za co kupić sobie potrzebnych materjałów, bo okruszyny z pańskiego stołu pożywią biedaka. Obiecuję wam za to nauczyć moje uczenice modlić się za swych dobrodziejów.

Wszelkie datki proszę adresować do Rady szkolnej Bolechowskiej szkoły żeńskiej.“

KRONIKA ZJAWISK NATURY.

— Z wyspy Samoa na morzu Południowem położonej, dochodzą wiadomości o gwałtownych przewrotach wulkanicznych, które od pewnego czasu nawiedzają cały archipelag, do którego rzeczona wyspa należy. I tak części wyspy „Duce of Jork“ już się zapadły w morze, inne natomiast znacznie się podniosły. Pootwierały się też nowe kratery, które wyrzucają pumeks (bimsztein) w takiej ilości, że morze miejscami przy brzegach wyspy pokryte jest gęstą, pływającą warstwą, która pędzona wiatrem i prądami morskiemi, osadza się na okolicznych skałach koralowych i mieliznach wysp Równikowych na stopę wysoko. Ze wszystkich wysp archipelagu tego donoszą też o gwałtownych trzęsieniach ziemi, a korespondent jednego z dzienników berlińskich, zamieszkały na wyspie Samoa, powiada, że kilkakrotnie już pod wrażeniem chwiania się gruntu pod nogami wybiegał ze swego domku w pole, w obawie, ażeby mu dach nie runął na głowę.

ARCHEOLOGIA.

— Z pałacu królewskiego w Lizbonie ukradziony został niedawno starożytny puginał, roboty nieśmiertelnego Benwenuta Celliniego. Srebrną rękojeść puginału stanowi skielet, spierający się na nietoperzu, którego rozpostarte skrzydła stanowią gardę. Oczy nietoperza są z rubinów. Broń zdobią nadto cyfry *M. D.* z dyamentów, a na klindze liczne rysunki, przedstawiające małe demony, zstępujące do otchłani.

— Profesor assyrologii w uniwersytecie lipskim, dr. Fryderyk Delitsch, niedawno miał odczyt publiczny na temat: „Gdzie był raj biblijny?“ Prelegent oświadczył się za przypuszczeniem uczonego Holendra Hopkinsona, który już w r. 1593, w dziele swem „Descriptio paradisi,“ utrzymywał, jako pod czterma rzekami biblijnego Edenu rozumieć należy Eufrat, Tygr i dwie odnogi pierwszej z rzek tych. Oryentalista Wetz-

stein w Damaszku, a zwłaszcza uczony angielski Henry Rawlinson dostatecznie dowiódł, że w poszukiwaniach za rajem biblijnym główną wagę kłaść należy na wspomniane w Biblii „cztery wody“ i pobliże Babilonu. Rawlinson pierwszy znalazł w pomnikach assyryjskich nazwę „ogród boga Danu,“ jako oznaczenie raju. Sam wreszcie profesor Delitsch w zeszłym roku w Londynie odkrył assyryjskie topografie, pomiędzy któremi znajdował się spis kanałów, które łączyły rzeki Eufrat i Tygr. Jeden z tych kanałów, według tego wiarogodnego zabytku, nazywał się Pisan, a drugi Guchan, które to nazwy odpowiadają zupełnie wymienionym w księgach Genezy nazwom wód rajskich: „Pison i Gichon.“ Ulegać już tedy nie może najmniejszej wątpliwości, że Eden położony był w Babilonii, a otoczony rzekami Eufratem i Tygrem, oraz wielkiemi kanałami: Pisan (który w czasach Aleksandra Wielkiego nosił już nazwę Pallakopos) i Guchan, ponieważ wszelkie najdrobniejsze szczegóły zgadzają się z tem przypuszczeniem.

DROBNOSTKI.

— W Pensylwanii umarł niedawno niejaki Hiram Reese, ojciec 25 synów! Z pierwszej żony miał on 6 chłopców, z drugiej 11, z trzeciej 8. Między temi dziećmi sześcioro było bliźniąt. Najstarszy z synów liczy obecnie lat 66, najmłodszy 24; pięciu już nie żyje. Reese w młodości swej był żołnierzem; dwóch synów jego zginęło w pierwszej bitwie podczas ostatniej wojny amerykańskiej; trzeci zabity został także na wojnie, jeden utonął. Starzec mimo lat 92, zdrów był ciągle i nadzwyczaj krzepki; a tylko raz jeden w życiu użył lekarstwa.

— Dziwne są anachronizmy i wybryki, których się dopuszczali nieraz dawni mistrzowie pendzla. Tintoretto n. p. wystawiając Izraelitów zbierających mannę, opatrzył ich w nowoczesne strzelby. Cigoll wymalował starego Symeona w okularach przy obrzezaniu dzieciątka Jezus. Varrio rysując Chrystusa, uzdrawiającego chorych, dał obecnym peruki. Albert Dürer wyobraził anioła, wypędzającego Adama i Ewę z raju, w modnej sukni z falbanami. Ten sam mistrz w obrazie Piotra, zapierającego się Chrystusa, postawił żołnierza rzymskiego z fajką. Jeden z holenderskich malarzy wystawił któregoś z Trzech Królów, przybywających uczcić dzieciątko Jezus, w butach z ostrogami, a jako podarek położył mu na rękę model wojennego okrętu holenderskiego. Inny znowu uzbraja Abrahama, zamierzającego się na Izaaka, nie nożem, ale celującego doń fuzyą. Znalazł się między nimi i taki, co Najś. Pannie z dzieciątkiem każe przysłuchiwać się skrzypcom. Pewien francuski artysta wymalował ostatnią wieczerzę, zastawioną najwykwintniejszemi potrawami; obok stoją szklanki, karafki rznięte i kieliszki z fidibusami do zapalania fajek; a inny wyobraził Adama i Ewę w ogrodzie edeńskim, w całej pierwiastkowej prostocie, kiedy opodal jakiś strzelec w ozdobnej zielonej odzieży poluje z strzelbą na kaczki.

PAMIĘTNE ZDARZENIA.

— Wypadek dżumy astrachańskiej zdarzył się w Petersburgu d. 25. bm. Straszną chorobą dotknięty został parobek Prokopiew, który od lat czterech nie wydalał się wcale z Petersbuga. Dowód to, że zaraza nie została tam zawleczoną, lecz objawiła się endemicznie. Czterdzieści ośm osób, które zostawały w styczności z chorym, natychmiast odosobniono w barakach za miastem, a samego chorego, po poprzedniem spaleniu jego bielizny i sukien, umieszczono na osobnym oddziale kliniki Dra Botkina. W stolicy carów popłoch niezmierny!

— W ostatnich dniach zeszłego tygodnia burza, jakiej najstarsi ludzie w Europie nie zapamiętają, srożyła się we Włoszech, Szwajcarji i niektórych okolicach Illirji aż po Wiedeń, gdzie echa jej niejako dały się jeszcze uczuć. We Włoszech wicher obalił wiele budynków i wież kościelnych, pozabijał ludzi i zwierzęta domowe, i ogromne spustoszenia zrządził w ogrodach i lasach. W porcie genueńskim było wiele nieszczęśliwych wypadków. W Szwajcarji wicher szalał z siłą tak demoniczną, że nad jeziorem Genewskiem zepchnął z szyn pociąg cały podczas jazdy. W Wiedniu orkan porwał na ulicy silnego młodego człowieka i rzucił nim o mur z taką siłą, że nieszczęśliwy utracił przytomność i odniósł ciężkie uszkodzenia. Jednocześnie w różnych okolicach środkowej Europy srożyły się nawalnice wśród letnich burz elektrycznych i zdarzało się, że podczas najstraszliwszej zamieci śnieżnej odzywały się donośne grzmoty i padały pioruny. W pewnej wiosce styryjskiej piorun zabił dwie osoby. Wulkany na morzu Śródziemnem objawiać też zaczęły zwiększoną czynność i nie było dnia prawie, żeby z różnych stron Europy nie donoszono o gwałtownych trzęsieniach ziemi. Dla uzupełnienia niejako tych przewrotów w naturze, nawiedziły wiele okolic wielkie powodzie, skutkiem wylewu rzek zarówno, jak morza w Tryeście i Wenecji. Wylewy Wisły, Sanu i Dniestru spustoszyły kilkadziesiąt miejscowości w Galicji, Królestwie, Prusach wschodnich i na Podolu. Głębokość wody w Wiśle dochodziła do 29 stóp, co się od długiego czasu nie zdarzyło. I południowa Francja spustoszona została wylewami licznych rzek i strumieni, które ją przecinają.

NEKROLOGJA.

— W Paryżu zakończył w tych dniach życie sławny pisarz francuski, członek Akademii Reneusz Taillandier. Syn adwokata, urodził się Taillandier w Paryżu r. 1815, studja ukończył w uniwersytecie heidelberskim, poczem w r. 1841 mianowany został suplentem literatury francuskiej w Strassbourgu. We dwa lata później przeniesiony został do Montpellier, a w r. 1846 mianowany zwyczajnym profesorem. Katedrę poezji francuskiej w Sorbonnie objął w r. 1863, a w kilka lat później także katedrę krasomowstwa w tym zakładzie naukowym. W styczniu 1870 r. powołany przez Segrisa jako sekretarz generalny do ministerstwa oświaty, mianowany został wkrótce potem radcą stanu i członkiem najwyższej Rady edukacyjnej Francji. Już w r. 1850 ozdobiony był krzyżem Legii honorowej. Pomiędzy licznemi dziełami Taillandiera pierwsze zajmują miejsce: „Beatrix“, „Scott Erigéne a filozofia scholastyczna“, „Historja młodych Niemiec“, „Studja nad rewolucją w Niemczech“, „Historja kościoła a filozofia“, „Corneille i jego współcześni“ i t. d. Taillandier był także gorliwym współpracownikiem czasopisma „Revue des deux Mondes“, w którem umieszczał artykuły zwłaszcza o Niemczech i Rosji. Był wielkim przyjacielem Czechów, z których znakomitszymi przywódcami zostawał ciągle w bliskich stosunkach.

Rozmaitości.

Dzieci królewskie. (Bajka neapolitańska). Pewien król neapolitański zwykł był wysyłać do miasta ludzi zaufanych, aby się dowiadywać, co poddani o nim mówią. W domu krawca, nazwiskiem Zampilone, rozmawiały jego trzy córki: Alfonzyna, Teresa i Gertruda. Najstarsza rzekła: „Jaki piękny dwór i jak pięknych kawalerów ma nasz król. Jabym za kucharza zaraz poszła“. A druga na to: „A ja bym chciała wyjść za koniuszego!“ Trzecia zaś, najmłodsza, która widocznie była stworzona do czegoś lepszego, przemówiła temi słowy: „A ja poszłabym tylko za króla samego i jeźliby mnie wziął, powiłabym mu naraz troje dziatek, dwóch chłopczyków i jednę córeczkę, ze złotemi włosami i gwiazdami na białych czołach.“ Król usłyszawszy to, spełnił życzenie dwóch sierót starszych, najmłodszą zaś, Gertrudę pojął sam za małżonkę. Wszelako matka króla, która dla swego syna innej żony pragnęła, była tem tak rozgniewana, że dzień i noc nad tem tylko przemyśliwała, jakby synowej zaszkodzić. Król wyjechał na objażdżkę kraju, a żona jego ze świekrą w domu została. Wtedy przyszło na świat owych troje dzieci. Świekra zabrała matce dzieci, a na ich miejsce położyła troje szczeniąt, z których każde miało gwiazdę na czole, i doniosła synowi że jego żona powiła mu szczenięta. Dzieci zaś powierzyła staremu słudze z żądaniem by je utopił. Sługa ulitował się jednak nad niemowlętami, a włożywszy je do koszyka, puścił go z biegiem rzeki. Woda wyrzuciła kosz wkrótce na brzeg, gdzie biedna praczka dzieci znalazła. Król wróciwszy do domu, wypędził żonę, która tak zubożała że chodziła o kiju żebraczym. Dzieci rosły tymczasem i były bardzo grzeczne, ale ponieważ inne dzieci we wsi nazywały je „Znajdami“, więc zmartwione tem, postanowiły porzucić dom praczki. Gdy wyszły, żal im się zrobiło poczciwej kobiety, która im matkę zastępowała, to też aby ją raz jeszcze pożegnać, z drogi wróciły i na pamiątkę każde z nich pozostawiło jej jeden włos złoty. Pożegnawszy praczkę, szły dalej i dalej, póki nie znalazły się na wielkiej łące, na której stał pałac cudowny Przed pałacem przechadzała się śliczna dama. Była to bogini leśna! — „Gdzie idziecie? spytała piękna pani. — Szukamy roboty — odpowiedziały dzieci. — „Chcecie u mnie służyć?“ — Chętnie! — Usłyszawszy to, przyjęła je natychmiast, a oddając im dozór domu poleciła, by w jej nieobecności nie wpuszczały nikogo krom samego króla. Gdy dzieci w pałacu pierwszą noc spały, król miał sen niezwykły. Nazajutrz poszedł na polowanie, a spotkawszy sarnę, szedł za nią ciągle dopóki nie zaprowadziła go do pałacu na łące. Król zdziwiony do drzwi zapukał, a dzieci przekonawszy się że to sam król, zaraz mu otworzyły. Na ich widok król przypomniał sobie swoją żonę, która mu przyrzekła właśnie takie same dzieci. Zamyślony wrócił do swego zamku, lecz matce ani słowem jednem nie wspomniał, co go spotkało. Ona jednak prędko odgadła co syna smuciło, a dowiedziawszy się gdzie pałac stoi, poszła tam i dzieci poznała. Teraz przemyśliwała nad innemi sposobami, aby się ich pozbyć. Królowi powiedziała, że w pałacu nie ma dość wody i dlatego trzeba jej naczerpać w źródle pobliskiem, źródło atoli było strzeżone przez okrutnego smoka, który każdego połykał, ktokolwiek doń się zbliżył. Dzieci wiedziały jednak, że potwór dwie godziny we dnie sypiał, skorzystały więc z tego czasu i wodę przyniosły, co królowę bardzo zadziwiło. Następnie zażądała ona ziela czarodziejskiego, które rosło w lesie, strzeżonym przez lwa zgłodniałego. Dzieci wzięły chleba i mięsa, rzuciły to zwierzęciu, które gdy się nasyciło nie przeszkadzało im w szukaniu ziela czarodziejskiego. Stara królowa nie byłaby poprzestała na tych próbach, gdyby nie bogini, która do pałacu w czas wróciła. Dowiedziawszy się gdzie król przebywał, doniosła mu ona, że znalazła jego dzieci pracowite, poczem mu je oddała, wraz z ich matką. — Stara królowa została za karę w piecu na różnie upieczoną.

Prawdziwy dżentelmen. Przy końcu ubiegłego stulecia bawił na dworze księcia Waldecku, niejaki pan Leliwa, który jak nazwisko wskazuje był niewątpliwie Polakiem. Otoż Leliwa należał do ludzi tak wytwornych, tak pamiętających o wszystkiem, co dżentelmen czynić powinien, że gdy umierał, wydał swojemu słudze rozkazy następujące: „Jak już umrę, Henryku, pamiętaj byś mnie kazał porządnie ufryzować, szpilki zaś w lokach niech stoją silnie i prosto, aby mi przypadkiem podczas jazdy, skutkiem ciągłego poruszania, głowy nie poraniły. W kościele każesz trumnę raz jeszcze otworzyć, zdejmiesz kapelusz a włożysz mi czapeczkę na głowę, wiesz bowiem że w domu lubię być sans façon.

Charakterystyka małżeńska. — Wiesz, że Henryk się ożenił? — „Czy to małżeństwo z rozumu, czy z przywiązania?“ — I jedno i drugie. — „Jakto?“ — Bo co do jej powierzchowności, poślubił ją z rozumu, a co do jej posagu, z przywiązania.

Z życia Chińczyków. Dobry ton u Chińczyków daje przepisy następujące:

„Jeżeli mówisz z drugim, podnoś jego osobę, jego przymioty, równeż jak przymioty wszystkich i wszystkiego, co do niego należy. Obsypuj go najwyższemi pochwałami. O sobie zaś i twoich najbliższych mów zawsze w sposób ganiący, by nikt cię nie mógł o brak grzeczności zaskarżyć i sędzia nie potrzebował skazać cię na pewną ilość plag trzciną bambusową w pięty wymierzonych“.

Oto w jaki sposób, do tych przepisów się stosując, rozmawiają z sobą dwaj wykształceni, a dotąd nieznani sobie Chińczycy.

— Jakie jest szanowne nazwisko, które ma zaszczyt, odróżniać od reszty ludzi, człowieka tak wielkich zasług, jak ty?

— Nędzne, nic nie znaczące nazwisko, takiego prostego jak ja chłystka, brzmi *Wong*. *Wong* nazywa się chrząszcz świecący, lecz niech myśl twoja łaskawa za nim nie goni; raczej pomyśl o starej, dziurawej patelni, którą także *Wong* nazywają.

— Gdzie jest położony twój pałac wspaniały?

— Moja licha, waląca się chałupa, stoi w smutnem mieście *Suchan*.

— Ile posiadasz dzieci rozumnych, cudownie pięknych i pełnych nadziei w przyszłości?

— Mam pięciu urwisów, istne oranguty, którzy więcej nie warci, jak tylko żeby ręka twego najniższego sługi, przynajmniej dwadzieścia razy na dzień, ich niegodne plecy trzciną wysmagała.

— Jak zdrowie szanowne, twej najzacniejszej, najpiękniejszej, młodością kwitnącej i najcnotliwszej pani i małżonki?

— Moja szkaradna, złośliwa i stara baba zasyła ci swoje najuniżeńsze pozdrowienia, których jednak ty wcale nie potrzebujesz i nie są godne ciebie!

I tak rozmowa prowadzi się dalej, w nieskończoność.

Z nauk przyrodniczych. Nauczyciel: Powiedz mi, jaka jest właściwość ciepła? Uczeń: Ciepło rozszerza ciała. Nauczyciel: Daj mi jaki przykład tej właściwości. Uczeń: W lecie dni są dłuższe, aniżeli w zimie, kiedy jest bardzo zimno.

Prawdziwi przyjaciele. Pewien autor dramatyczny oddał dyrekcji teatru swoją sztukę, która na pierwszem przedstawieniu całkiem upadła, nie zyskawszy ani jednego oklasku, gdy przeciwnie na drugiem została jak najlepiej przyjęta — Jak się to stać mogło? — zapytał go ktoś ze znajomych. — „To rzecz bardzo prosta — odpowiedział autor. — Na pierwszem przedstawieniu byli tylko moi dobrzy przyjaciele“

Ofiarność bankiera. Pewien bankier, wracając do domu, podarował żebraczce całą szóstkę. — Bóg ci stokrotnie wynagrodzi! — rzekła uboga. — „Piękny interes — odpowiedział bankier — to dziesięć guldenów.“

Na egzaminie. — Co to jest ein Capitalverbrechen? pytał profesor pewnego Izraelitę, który z nauk prawniczych zdawał egzamin w języku niemieckim. — „Jeżeli kto — żyd odpowiedział — mając pieniądze pożyczy je na 12 procent, zamiast na 36, lub wyżej, to wtedy dopuszcza się zbrodni na swoim kapitale i to jest ein Capitalverbrechen.“

Ledwie nie przemówi! Pani B. lubi tak mówić, że obok niej w towarzystwie nikt głosu zabrać nie może. Raz przyszła do niej przyjaciółka. — Moja kochana — rzekła pani B. — oto mój portret, który właśnie wczoraj został ukończony. Prawda że ledwie nie przemówi? — „O! jestem pewna, że nawet by przemówił — odrzekła przyjaciółka — byleś go tylko do głosu dopuściła?“

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.